

D Z I W Y Ś W I A T A

ROALD AMUNDSEN

ŻYCIE
ESKIMOSÓW

ANDRZEJ SACZANSKI



WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „ZDRÓJ”

ROALD AMUNDSEN

ŻYCIE ESKIMOSOW

Opis podróży do bieguna północnego
w latach 1903-1907

ANDRZEJ BACHANSEI

Nr. 1

DZIWIY ŚWIATA

INSTYTUT WYDAWNICZY „ZDRÓJ” WARSZAWA

TREŚĆ:

Pierwsze spotkanie z Eskimosami	7
Mieszkańcy wioski Nedzili	14
Wyprawianie skór	31
Polowanie w Kajaku	33
Polowanie na Renifery	42
Budowa domów lodowych	46
Prace i zabawy w zimie	56
Polowanie na foki i na białe niedźwiedzie	64
Świat duchowy Eskimosa	76
Nasz przyjaciel Manni	79

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001C07540408



I 1472.188



Tłoczono w Zakładach Druk.-Litogr. „Grafja” w Łodzi.

1999 K 1469/1

PRZEDMOWA.

W książeczce niniejszej opowiada Roald Amundsen o „Ludziach na magnetycznym biegunie północnym”. Amundsen z siedmiu towarzyszami przedsięwziął w roku 1903 wyprawę do świata podbiegunowego północno-amerykańskiego, aby na statku „Gjøa” przepłynąć drogę północno-zachodnią, której odkrycie od czasów Kolumba było celem licznych wypraw. Podróż Amundsena trwała od roku 1903 do r. 1907. M'Clure odkrył tę drogę w roku 1850, ale przebył ją po większej części na saniach. Amundsen jest tedy pierwszym, któremu udało się przepłynąć tę drogę na statku. Jednocześnie spędził on ze swymi towarzyszami 23 miesiące na wyspie Króla Williama, robiąc spostrzeżenia naukowe, z których najważniejszym było nowe określenie położenia magnetycznego

bieguna północnego, dokonane na Boothia Felix. Magnetyczne bieguny nie są stałe i przesuwały się z miejsca na miejsce.

Opis wyprawy Amundseny ukazał się w różnych językach pod tytułem „Droga północno-zachodnia. Moja wyprawa podbiegunowa na statku „Gjøa“ odbyta w latach 1903—1907”. Dzieło to ozdobione jest 140 obrazkami i opatrzone 3 mapami. Niniejszy opis życia Eskimosów stanowi część tego wielkiego dzieła.

Jak powszechnie wiadomo, Amundsenowi udało się dotrzeć do bieguna południowego w dniu 17 grudnia 1911 roku.

Rozdziały dzieła Amundseny poświęcone Eskimosom należą do bardzo ciekawych. Niepodobna odmówić najwyższego podziwu biednemu ciemnemu ludowi, który w warunkach najgorszych, na wiekuiszych śniegach i lodach buduje chaty śniegowe i niemal z niczego stwarza sobie narzędzia, broń i łodzie potrzebne do polowania na różne zwierzęta morskie, których mięsem się żywi, a których tłuszcz dostarcza mu jedyne materiały do oświetlania i opalania chat podczas długich miesięcy zimowych, gdy panuje tam straszny chłód i mrok nocny.

Jeśli chodzi o przykład, że nawet w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach nie należy zniechęcać się

nigdzie, jak u tych Eskimosów, którymi Europejczyk tak niesłusznie gardzi. Stworzyć sobie warunki istnienia wśród mroków i chłódów, to nie byle co.

do życia, to przykładu lepszego nie znajdziemy bodaj

Opis życia Eskimosów to pogładowa lekcja wytrwałości i dzielności godnej naśladowania. Oczywiście, Eskimosi pochłonięci całkowicie ciężką walką o byt, nie mogli stworzyć tego, co nazywamy kulturą, ale samo ich istnienie jest rzeczą zadziwiajączą i ogromnie interesującą.

Redakcja biblioteki „Dziwy świata”

UWAGA.

Bieguny magnetyczne są to miejsca na kuli ziemskiej w okolicach bieguna północnego i południowego, w których igielka magnetyczna ustawia się pionowo.



PIERWSZE SPOTKANIE Z ESKIMOSAMI.

Chcę spróbować oddać osobiste wrażenia, jakie odniosłem z pobytu wśród Eskimosów, z którymi spotkałem się w północnej Ameryce, chcę dać obraz ich życia i ich walki o byt. Nasze spostrzeżenia co do Eskimosów bardzo się między sobą różniły i mogę śmiało powiedzieć, że każdy z siedmiu uczestników wyprawy „Gjøa” doszedł do odmiennego poglądu na Eskimosów. Rozpoczynaliśmy codziennie sprzeczki z powodu ich mowy i sposobu wymawiania, tak, że nieraz nawet spieraliśmy się o pojedyncze słowa. Jeśli więc jaki mój towarzysz będzie o tych ludziach opowiadał, to pogląd jego na nich w wielu punktach będzie się różnił od mojego, a trudno będzie osądzić, który jest bliższy prawdy.

Na brzegach Króla Williama znaleźliśmy zatokę, bardzo odpowiednią dla naszego „Gjøa” i przygotowaliśmy w niej wszystko dla spędzenia zimy. Sprowadziliśmy zapasy żywności, wybudowaliśmy spiżarnię, stację obserwacyjną i domki dla Riskreda i Wüka — mogliśmy więc spokojnie oczekiwać nadejścia zimy.

Pewnego dnia gdy znajdowaliśmy się na wzgórzu, które służyło nam za punkt obserwacyjny, aby strawić śniadanie przy wesołej rozmowie i przytem jak zwykle wypatrywać renifery, jeden z nas wskazał na północ i powiedział: „Przychodzą jak na zawołanie”. I zaraz rozpoczęliśmy przygotowywać się do

polowania. Ale Hansen pozostał przy mnie i widziałem jak niezwykle uważnie przygląda się czemuś.

— No, Hansen, czy nie masz chęci pójść dziś polować na renifery?

— O mam — odpowiedział powoli, ale nie na te renifery, które widzimy, lecz na te, które chodzą na dwóch nogach.

Usłyszawszy to zdumiewające powiedzenie, chwyciłem za lornetkę i skierowałem ją w stronę, gdzie miały znajdować się renifery.

Eskimosi! I rzeczywiście stało tam pięciu ludzi.

Długo i szeroko rozprawialiśmy już o Eskimosach, ale z wielu powodów uważaliśmy, że jest rzeczą nieprawdopodobną, abyśmy mogli spotkać się z nimi. Był już koniec października, przypuszczaliśmy więc, że Eskimosi wymarli na ten rok — dlatego tak zupełnie zapomnieliśmy o ich istnieniu.

A tu mamy ich przed sobą!

Przychodziły mi na myśl wiadomości, jakie mieliśmy o tych podbiegunowych barbarzyńcach. Z tymi, którzy zamieszkiwali północną Amerykę wogóle nie można było żartować — to wiedzieliśmy z opisów podróżników o tej części ziemi. Nauczyliśmy się, że wyraz eskimowski „teima“ był najlepszym pozdrowieniem przy spotkaniu. Oznaczał mniej więcej bardzo serdeczne „dzień dobry.“ Wbiliśmy sobie w głowy to słowo, wymawiając je na różne sposoby.

Przytem nie popełniliśmy tego głupstwa, aby swoje zaufanie opierać tylko na tem jednym biednym słówku. Najroztropniejszym było uważać nadchodzących za nieprzyjaciół. Przeto odrazu powstał plan wojenny. Miałem wyjść naprzeciw nieprzyjaciela, a Hansen i Sund zgłosili się odrazu jako ochotnicy.

Sprawdziliśmy sprawność karabinów, i ładownice wypełniliśmy nabojami. Stojąc na lodzie przed okrętem zrobiłem przegląd oddziału, ale nawet najbardziej krytycznie usposobiony dowódca musiałby być zadowolony z postawy i wyglądu tych żołnierzy. Ja sam wyglądałem bardzo wojowniczo, wyprostowałem się mocno, zrobiłem najbardziej prawidłowy obrót i zakomenderowałem: „Naprzód, marsz!”

Mając swoich zuchów tuż za sobą, poszedłem naprzód, rzuciłem jednak od niechcienia spojrzenie na pokład, gdzie porucznik i kucharz stali obok siebie. Miałem wrażenie, że ciekawe spojrzenie, jakie rzucili na naszą gromadkę, nie wyrażały nietylko należącego podziwu, ale nawet zdawały się nie oceniać powagi chwili. No tak — pomyślałem sobie — łatwo jest być wesolym, gdy się jest tak bezpiecznym na statku, podczas gdy my idziemy na spotkanie nieznanym przygodom, a nawet w odkrytym polu śmierć znaleźć możemy.

Eskimosi oddaleni byli od nas o pięćset kroków i schodzili z pagórka, kierując się ku naszemu okrętowi. Szedłem na ich spotkanie, przybierając najbardziej wojowniczą postawę, a za sobą słyszałem miarowe kroki moich ludzi. W odległości jakichś dwudziestu metrów Eskimosi się zatrzymali. Różne możliwości strategiczne przemknęły mi przez głowę — ofensywa, defensywa i tak dalej, ale wreszcie uznałem za najwłaściwsze zakomenderować: stój. Moi chłopcy zachowali się wspaniale: doskonała postawa, nogi w pozycji, dającej kąt 45 st., na twarzy wyraz odwagi i zaufania do wodza. Zacząłem obserwować przeciwników. Wydawało mi się, iż są bardzo podnieceni: wykrzykiwali, śmieli się, gestykulowali, jednak bez ujawnienia jakichś wojowniczych zamy-

słów. Ale nagle ustawili się w jedną linię i ruszyli naprzód.

Niech tam — pomyślałem — lepiej umrzeć z honorem, niż ratować się ucieczką, jak tchórze. I zakomenderowałem: Naprzód marsz!

Ruszyliśmy naprzód, zupełnie na to przygotowani, że nieprzyjaciel zacznie do nas mierzyć z łuków. Ale nie, najwidoczniej ma co innego na myśli.—Podstęp wojenny?

Nagle w mózgu mym, podnieconem oczekiwaniem bitwy, zabłysnęło słowo „Teima”. I z całych sił krzyknąłem nieprzyjacielowi: „Teima”. Eskimosi zatrzymali się. Ale nasze podniecenie jest już zbyt wielkie — teraz musi nadejść rozstrzygnięcie, więc biegniemy naprzód, gotowi do walki. Wówczas słyszę okrzyk:

Manik — tu — mi! Manik — tu — mi!

A to brzmi tak jasno, zrozumiale, czytaliśmy bowiem u Mac Clintock'a, że wyraz ten oznacza najserdeczniejsze pozdrowienie Eskimosów. W jednej chwili rzucamy broń i biegniemy ku naszym przyjaciołom z okrzykiem: Manik — tu — mi! Manik — tu — mi!

Krzyczymy wszyscy równocześnie, obejmujemy się, klepiemy po ramieniu i nie wiem doprawdy czy radość była większa po ich stronie, czy po naszej.

Nasi przyjaciele zadziwili mnie w najwyższym stopniu swoim wyglądem. Niedawno opuściliśmy brzydkich, płaskonosych Eskimosów z północnego wybrzeża Grenlandji, a tu trafiliśmy na szczep, którego poszczególni przedstawiciele mogli być nazwani pięknymi. Dwóch z nich było podobnych do Indian, wyglądali tak, jakby byli bohaterami powieści Coopera. Byli dobrej budowy i wysokiego wzrostu.

W braterskiem porozumieniu szliśmy do okrętu. Nie mogę twierdzić, żebym doznawał wzniesłego zadowolenia dowódcy armji.

Nasi goście przyjęli zaproszenie na statek z wielką radością. Na pokładzie leżały setki zabitych reniferów — i Eskimosi wytrzeszczali oczy widząc ten zapas mięsa, ale nic nie powiedzieli. Długo staliśmy razem i gwarzyliśmy, śmiejąc się z nimi i żartując. Wtedy szepnął mi Lindström, że należałoby ich czemś ugościć. Naturalnie, zgodziłem się na to i poleciłem mu, aby ugotował kawy i przyniósł sucharów. Zabrałiśmy naszych gości na dół, do sali ogólnej — w kajucie widziałbym ich niechętnie, gdyż obawiałem się, że nie będą sami: północno-grenlandzcy Eskimosi znani są bowiem z wielkiego zawszawienia.

Przyniesiono kawę i chleb, ale widocznie tem im nie dogodziłem. Gestami dali poznać, że chętnie by coś wypili i twarze ich się rozpromieniły, gdy podaliśmy im wodę. Każdy z nich wypił cały litr. Ale jeżeli lodowatą wodę woleli od kawy, w takim razie możeby także...

— Hej, Lindström, daj te udźce reniferów, które tam leżą!

Tak, miałem rację, to było coś zupełnie innego niż suchary. Teraz też spostrzegłem, że nie byli tak zupełnie nieuzbrojeni, jakby się zdawało na pierwszy rzut oka. Z za cholewy powyciągali duże, długie noże i mięso z udźców pookrawali i zjedli w nieprawdopodobnie krótkim czasie, pozostawiając tylko kości. Na początku mieliśmy wielkie trudności w porozumieniu się z naszymi gośćmi. Ale później udało się nam wyrazić im chęć nauczania się słów, oznaczających przedmioty najzwyczajniejsze, poczem zaczęliśmy się szybko porozumiewać. Eskimosi u nas przenocowali,

a nazajutrz powrócili do domu. Zdołaliśmy wytłumaczyć im, że chcielibyśmy kupić od nich wyprawione skóry. Gdy zobaczyli w jaki sposób zabraliśmy się do wyprawiania skór, ujawnili ogromną wesołość, z czego wynioskowaliśmy, że wyprawianie skór należy pozostawić innym.

Po dwóch dniach ukazali się Eskimosi znowu i przynieśli kilka ładnych skór reniferowych. Wykazali duży spryt handlowy, przynosząc tylko skóry z dużych rogaczy, które dla nich samych nie przedstawiały wielkiej wartości. Ale my zapłaciliśmy im tą samą monetą i daliśmy za każdą sztukę jedną — podkreślam wyraźnie: jedną igłę. Postanowiłem towarzyszyć im w drodze powrotnej, aby zobaczyć jak i gdzie mieszkają. Dali nam do zrozumienia, że nie potrzebują po drodze szukać noclegu, z czego wynioskowałem, że nie mieszkają zbyt daleko. Nazajutrz wyruszyliśmy o wpół do dwunastej.

Miałem sanie, na których ułożyłem futrzany worek do spania, trochę jedzenia i różnych rzeczy, przez Eskimosów bardzo cenionych. Gości zaprząłem do sanie, a sam założyłem narty i pomknęliśmy szybko w kierunku zachodnim. Eskimosi nie mieli ani nart, ani kanadyjskich śniegowców, ani nic podobnego. Biegli tak dobrze po stwardniałym śniegu, że musiałem porządnie nogi wyciągać, aby im dotrzymać kroku.

Było to dziewiątego października i bardzo wczesnie robiło się ciemno. Dlatego uważałem za wskazane nagiąć do pośpiechu. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, jak obojętną jest rzeczą dla Eskimosa, czy podróżuje za dnia, czy w nocy, w czasie pięknej pogody, czy w najgłębszej mgle, podczas wichury, czy ciszy, albo nawet czy znajdzie się wśród takiej śnie-

gowej nawałnicy gdy człowiek końca nosa swego nie widzi. Dowiedziałem się o tem dopiero później, gdy się z nimi zbliżyłem. O wpół do czwartej zaczęli nam pokazywać, że zbliżamy się do ich siedziby. Ze szczytu jednego wzgórza dostrzegłem na drodze wygodnej, dobrze osłoniętej kilka błyszczących światełek. Było teraz już prawie zupełnie ciemno. Eskimosi wydawali okrzyki radości, dając wyraz zadowoleniu z tego widoku. Małe światełka, ukazujące się na dole, migotały bardzo gościnnie i budziły myśl o ciepłe i wygodzie, o jedzeniu i picciu, o wszystkim, co nieci wędrowca w ostrą i mroźną noc zimową.

Gdy zbliżyliśmy się na taką odległość, że można było się porozumiewać wołaniem, moi towarzysze zaczęli wydawać okrzyki, z których uchwyciłem słowo kabluna, tj. biały człowiek. Mieszkańcy tej osady zaczęli się snuć dokoła. Nadzwyczajny był to widok, który teraz przywołuję w pamięci i którego nigdy nie zapomnę. Na pustym polu śnieżnej krainy otoczony byłem gromadą dzikich ludzi, którzy wrzeszczeli jak szaleni, zagłądali mi w oczy, dotykali się mego ubrania, głaskali mnie i poklepywali. Światełka padające z okien lodowych nabierały tonu jasno-zielonkawego od blasków gasnącego słońca. Takie spostrzeżenia mogą być bardzo miłe, ale nie przy dwudziestu stopniach mrozu i przy pustym żołądku. Tęskniłem do ciepłego domu i do ciepłej stawy. Z jednym więc Eskimosem, który mi się najbardziej podobał, poszedłem do jego domu. On i jego rodzina mieszkała razem z drugą rodziną w dużej chacie, w której mieściło się wygodnie ośmiu mieszkańców. Wkrótce po naszym przybyciu zgromadzili się mężczyźni przedstawiciele całej kolonii przy wieczerzy, składającej się z mięsa reniferowego i wody. Trzy całe renifery zje-

dli tak szybko, jak ja zjadam butkę z szynką. Eskimosi śmieli się przytem i gwarzyli nieustannie. Żadna kobieta nie brała udziału w tej uczcie. Gdy starałem się wytłumaczyć jak my odnosimy się do naszych kobiet i żonie naszego gospodarza, która pilnowała ognia, podałem kawałek mięsa, Eskimosi wybuchnęli głośnym śmiechem i patrzyli na mnie jak na skończonego głupca. Gdy wreszcie mężczyźni się nasycili, pozwolono zbliżyć się kobietom. Te pozdrowiły mnie swoim Monik — tu — mi! i dotykały mego ciała, potem znikły znowu, nie dostawszy nic do jedzenia. Później jednak uspokoiłem się w tym względzie, gdyż, jak słyszałem, kobiety same myślą o swem pożywieniu i na ich stole równie szybko znikła cały upieczony renifer. Koło godziny dziesiątej położyłem się na mojem poślaniu, które rozłożyłem sobie na tapczanie między dwiema rodzinami. Spałem dobrze do rana, chociaż ruch zaczął się nim się rozwidniło. Wiedziałem, jak Eskimosi odkrywają górną część ciała i leżą nago pod przykryciem skórzanem — aby o świcie brać kąpiel powietrzną.

Doprawdy, bardzo chłodna przyjemność! pomyślałem i zawiąawszy się mocniej w swój worek, ponownie usnąłem. Po południu powróciłem do domu.

MIESZKAŃCY WIOSKI NEDŻILI.

Eskimosi na wyspie Brothia-Felix, na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki, dzielą się, jak sami twierdzą, na plemiona następujące: Icznachtorwik, Nedżili, Utchochidżalik, Ogluli i Kilnermiun. Przez ciągle obcowanie, przez małżeństwa i przez prze-

chodzenie jednych do drugich, tak się te różne plemiona ze sobą zmieszały, że mogą być uważane w rzeczywistości za jedno plemię. Ubiór, wygląd i obyczaje mają prawie takie same, co sprzyja jeszcze większemu stapianiu się tych plemion.

Plemię Ogluli wyróżnia się tem, iż miało najwięcej stosunków z białymi. W ich to bliskości ludzie z ekspedycji Franklina oddali ostatnie tchnienie z nimi też później spotkali się podróżnicy (Clintock, Hall, Szwatka), którzy wyruszyli na poszukiwanie dokumentów Franklina i do dziś dnia zachowały się u nich pojedyncze wyrazy angielskie np. uoter (woda) i naimine (nóż). Poza tem nie widać u nich było żadnych przedmiotów, któreby wskazywały na zetknięcie się z białymi. Tak np. mieli oni nadzwyczaj mało przedmiotów z żelaza. U innych szczepów, z wyjątkiem Nedżili, brakło wyrobów z żelaza zupełnie.

W tym samym roku, w którym dotarliśmy do kraju Króla Williama, czterech Eskimosów wybrało się na południe celem sprzedaży futer. Przejawili tu pewien zmysł przedsiębiorczości, którego nie zauważyliśmy u żadnego innego plemienia. Zresztą przy pierwszym spotkaniu z Eskimosami nie zauważyliśmy nic, coby mówiło o ich stosunkach ze światem zewnętrznym; mieli zaledwie kilka żelaznych dragów i noży, które nabyli od Eskimosów południowych. A więc nagle znaleźliśmy się w obliczu ludzi z czasów kamiennych, zostaliśmy więc przeniesieni o kilka tysięcy lat wstecz, do ludzi, którzy nie znali jeszcze innego sposobu zapalania ognia, jak za pomocą tarcia dwóch kawałków drzewa i którzy jedzenie zagrzają nad płomieniem lampki z tranem fokii, podczas gdy na naszej nowoczesnej maszynie gotowało się ono

po kilku minutach. Przyszliśmy z naszymi precyzyjnymi rodzajami broni do ludzi, którzy używali jeszcze dzid, strzał i łuków. Ich przyrządy do łowienia ryb stanowiły długie haczyki, zrobione z rogów reniferów. Godzinami całymi musieli cierpliwie wystawać, aby złowić jaką nadpływającą rybę, podczas gdy my zarzucaliśmy sieć i od razu mieliśmy ryb do woli.

Ktoby zresztą ujemnie oceniał rozum tych ludzi, sądząc po ich naczyniach domowych, broni i innych sprzętach, ten uczyniłby im krzywdę. Okazuje się bowiem, że te proste narzędzia i przedmioty odpowiadają tak doskonale celowi, dla którego zostały wykonane, że tylko długie doświadczenie i mądre próby, dokonywane w ciągu setek lat mogły wydać tak dobre owoce.

Nedżili, ojczyzna i raj ziemski Eskimosów leży na przyłądku Brothia. Jezioro północne Willem z brzegami, porośnięte mchem i mały strumyk płynący do morza nosi tę nazwę już od setek lat. To jest ojczyzna szczepu Nedżili, skąd ich ojcowie i przodkowie w jasne noce letnie wyruszali ze swych namiotów na polowanie. Tu biegali jako dzieci ze swemi łukami i, strzelając do małych ptaszek, zaprawiali się do łowów na grubą zwierzynę. Stąd jako młodzieńcy wyruszali w towarzystwie starszych, tu otrzymywali wiele cennych rad i wskazówek i poczynili cenne doświadczenia, aż wreszcie jako ojcowie i mężowie sami rozpoczynali walkę o byt w tem życiu, jakie było im przeznaczone.

Mamy połowę czerwca, najpiękniejszego miesiąca tych okolic. W spokoju i ciszy możemy korzystać z cudownych wieczorów letnich, gdyż nie pojawiły

się jeszcze komary, będące jedną z najstraszniejszych plag podbiegunowych—mogące najładniejszą noc zamienić w istne piekło. Dokoła leżą rozrzucone pojedynczo namioty. Jeden z nas wybrał sobie wystającą skałę, z której rozciągał się widok na plac, pełen namiotów, inny — brzeg małej sadzawki, w której grube i tłuste pstrągi pływały we wszystkich kierunkach. Namioty nie wyglądają bynajmniej wspaniale. Przeważnie są pozszywane ze skór reniferów i fok. Namioty najlepszych łowców są zrobione tylko ze skór fok, zaś namioty najgorsze ze skór reniferów. Skóra foki jest cenniejsza niż skóra renifera.

Atikleura tego lata rozbił namiot swój na najwyższej skale, z której mógł śledzić renifery, jak tylko się ukażą. Jego namiot jest okazały, bo składa się z cienkich, dobrze wyprawionych skór fok. Nawet szwy jego namiotów są ładniejsze, niż szwy namiotów innych. Otwór namiotu zwrócony jest pod wiatr. Bogaty człowiek jak Atikleura używa do swego namiotu trzech dragów, drag główny podtrzymuje cały namiot, zaś dwa złożone na krzyż stanowią wejście. Aby namiot przylegał szczelnie do ziemi, dolne jego części obciążone są dużemi kamieniami. Gdy Eskimosi wyruszają dalej, kamienie te pozostają na miejscu i tworzą koła. Te koła nazywają się pierścieniami namiotowymi; znajdowaliśmy je rozsypane po całej Ziemi Króla Williama. Urządzenie w namiocie Atikleury nie jest wykwintne, ale wyjątkowo czyste i porządne, jak na mieszkanie Eskimosa. Grunt mchem porośły, na którym stoi namiot, jest pokryty licznymi skórami reniferów. Nigdzie nie widać naczyń kuchennych. Kuchnia znajduje się przed samem wejściem do namiotu. Olejną lampę używa się tylko w zimie, w lecie grzeje się strawę przy ognisku z su-

chego wrzosu. Ogień rozpala się między dwoma kamieniami, a garnek wstawia się w szparę między nimi. Garnki do gotowania bywają różnej wielkości. Są zrobione z miękkiego kamienia, który otrzymuje od swych przyjaciół Eskimosów Utkochidżalik.

Mały Anni skacze i bawi się między namiotami, grozi mu niebezpieczeństwo, że zostanie rozpieszczony. Wszystkie dzieci w jego wieku muszą pracować, ale u ludzi bogatych jest inaczej. Errera, najstarszy syn jest wspaniałym chłopakiem. Wraca właśnie z polowu ryb. W jednym ręku niesie wędkę (kakiwa), a na barkach dźwiga plecak, w którym jest jego zdobycz. Rzuca plecak matce, która ze swą odwieczną robotą siedzi ciągle w namiocie, widły do łapania ryb opiera o namiot. Widły te składają się z czterech części: z drzewca, które im jest dłuższe, tem lepsze. Mniej, niż trzy metry mieć nie może. Na jednym końcu drzewca przymocowane są trzy inne części tego narzędzia za pomocą sznurów, zrobionych ze ścięgien reniferów. Dwie z nich są zupełnie równe, stanowią one części zewnętrzne wideł i obie zakończone są haczykami, zwróconymi do wewnątrz. Trzecią część stanowi ostrze, które wbija się mocno na koniec drzewca. To ostrze przebija rybę, a haczyki boczne nie pozwalają jej już się zsunąć. Początkowo to narzędzie robione było tylko z rogu renifera, w naszych czasach ostrze wewnętrzne i boczne haczyki bywają często zrobione z żelaza, a widełki zewnętrzne z kawałków kości piżmowca. Róg piżmowca jest materiałem bardziej elastycznym, niż róg renifera.

Mały Anni już uciekł do matki Nalungii, która zagląda do wnętrza plecaka, aby zobaczyć co w nim jest. Teraz chodzi o to, aby sobie zdobyć smaczny



kąsek. Każdy chciałby dostać surowe oczy rybie, które są dla Eskimosów specjalnym przysmakiem. Mały Anni czeka, dopóki nie otrzyma swej porcji. Inni członkowie rodziny zjadają część łupu na surowo, resztę kładzie się w garnek do zagrzania. Właściwie pokarmów nigdy się nie gotuje, a ogrzewanie ich nie jest sprawą tak prostą, jakby się zdawać mogło. Eskimosi nie znają naszych zapalek, dających ogień w jednej chwili. Ich przyrząd niecenia ognia jest bardzo pierwotny. Składa się on z dwóch kawałków drzewa, z których jeden jest płaski i ma w sobie zagłębienia, a drugi na obu końcach jest zaokrąglony, poza tem z kawałka kości reniferowej i grubego sznura ze ścięga reniferowego. Do rozniecenia ognia nieodzowny jest nadto mały woreczek, napełniony mchem suszonym. Gdy trzeba ogień rozniecić, kładzie się ów płaski kawałek drzewa na twardej podstawie otworem ku górze; drugą część, a mianowicie krągły drążek wkłada się końcem ściśle dopasowanym do jednego z otworów, a drugi koniec tego drążka w odpowiedni otwór kości reniferowej, którą opiera się o pierś niecącego ognia. Ściągną renifera okręca się raz około drążka, poczem pociąga je się szybko w jedną i drugą stronę. W zimie czynność ta trwa dość długo, w lecie jednak gdy drzewo jest suche, ogień rozpala się bardzo szybko. Wkrótce rozbłyskuje na obu kawałkach drzewa, a Eskimos, który ogień rozniecił odpoczywa i przygląda się. Jeżeli tarcie trwało dość długo, to wytworzył się drobny proszek drzewny, który teraz się żarzy. Ten rozżarzony pył strząsa się z drzewa do woreczka napełnionego mchem i dmucha się nań tak długo, dopóki mech się nie zajmie. Gdy się to szczęśliwie udało i mech się rozpalil, wówczas zbliża

się go do jakiegoś materiału, nasyconego tranem, poczem rozbłyskuje duży jasny płomień. Kto pierwszy wzniecił ogień, ten oczywiście użyzca go swemu sąsiadowi.

Pokazałem im raz jednego jak przy pomocy słońca i szkła zapalającego można rozniecić ogień. To wprawiło ich w zachwyt, ale nie przyszło im na myśl nabyć takie szkło i przyswoić sobie ten wynalazek.

Gdy wreszcie ryba jest gorąca, rodzina cała z powagą zasiada do jedzenia. Atikleura i jego rodzina oczywiście nie znają noży i widelców. Muszą zadowolnić się wyłącznie temi przyrządami do jedzenia, jakie dała im natura. To też często parzą sobie ręce, ale się tem zupełnie nie przejmują. Po jedzeniu każdy z nich czas jakiś spędza według swego upodobania. Errera spostrzeża, że coś się zepsuło w jego widłach i stara się je naprawić. Eskimosi wszelką pracę wykonywują przy śpiewie, jeżeli wogóle miano śpiewu można dać dźwiękom przez nich wydawanym. Ale najmniejszej pracy wykonanej czy to przez mężczyznę, czy przez kobietę towarzyszą zawsze monotonne, dziwaczne dźwięki: c—d—e—f, f—e—d—c, c—d—e—f, f—e—d—c i tak w nieskończoność. Naturalnie można zwarzjować, słuchając tej monotonnej muzyki. Gdy Errera naprawił swoje widły, Nalungja zabrała stę do sporządzenia kajaka Atikleury. Kajak leży przed namiotem na trzech małych kupkach kamieni, które są tak wysokie, że psy na nie wskoczyć nie mogą.

Cała robota z drzewa jest wykonana. Trzeba tylko jeszcze dopasować i posklejać poszczególne części. Zestawienie ostateczne kajaka wymaga wielkiej cierpliwości Nalungji, gdyż kajak składa się z wielu drobnych kawałków drzewa, które muszą do siebie

szczelnie przylegać. Do łączenia tych części używa się znowu ścięgien renifera, które po wyschnięciu nadają się do tego użytku, jednak gdy są mokre, stają się rozciągliwymi i części niemi powiązane mogą się rozpaść. Gdzie chodzi o ładniejsze wykończenie, używany jest klej sporządzany w bardzo specjalny sposób z krwi reniferów. Małeńki woreczek napelnia się krwią, poczem Eskimos bierze go w usta i ssie przez dłuższy czas. Krew ścina się i staje się gęstym płynem, który dorównywa dobrocią naszym najlepszym klejom.

Chodźmy teraz do sąsiada Atikleury, Kaa—aak—he a, aby zobaczyć jak wygląda jego dom. Rzut oka na zewnętrzną część namiotu wystarczy dla nabrania przekonania, że spotkamy się tutaj z zupełnem przeciwieństwem ładu, jaki widzieliśmy u Atikleury. Wśród skór namiotu niema ani jednej skóry fokki, cały namiot pozszywany jest wyłącznie ze skór reniferowych i to dziurawych i pociętych przez robaki. Eskimos nie dbał nawet o to, aby je oczyścić z sierści, trzymającej się miejscami na skórze. Szwy również zrobione są niedbale. Namiot jest tak brzydki, że niewątpliwie ja potrafiłbym zrobić lepszy. Cała masa ości rybich leży przed namiotem i przyciąga roje much.

„Manik—tu—mi! Kaa—aak—he a!”

Przeciągle, żalodne Manik—tu—mi dobiega do moich uszu z pod kupy skór. Eskimos jeszcze nie wstał. Widać tylko kępy zwichrzonych włosów i dwoje krwi nabiętych oczu, błyszczących z pod skóry, którą jest okryty. Tutaj wszystko czuć brudem, którego jest pełno dokoła. Dlatego nie rozpoczynam z nim dłuższej rozmowy, choć chciałbym, ale nie mogę współczuć z tym człowiekiem, który skut-

kiem swego nieokrzesańca skazany jest na opuszczenie i samotność.

Z pierwszą swoją żoną obchodził się bardzo źle, bił ją tak bardzo, że całe ciało miała pokryte sińcami. Szczęściem dla niej było, że umarła. Kaa—aak—he a uważał, że smutny jest los wdowca i zaczął rozglądać się za inną żoną. Nie jest to jednak rzecz łatwa, gdyż w tym szczepie kobiety są bardzo nieliczne. Miał więc dość rozumu, aby wyjechać za granicę dla wyszukania żony w innym plemienu. Po upływie kilku miesięcy powrócił i przywiózł z sobą dziewięcioletnie dziecko. To dziecko było jego żoną. Okropna była odzież tej dziewczynki. Biegała w starem zupełnie zniszczonem ubraniu Kaa—aak—he a, które oczywiście było na nią za duże. Takie same mniej więcej miała obuwie. Była często bita, a mało dostawała jeść. Pewnego pięknego dnia uciekła. Bez jedzenia i prawie bez ubrania biegło to biedne dziecko trzydzieści mil, nim spotkało ludzi, którzy się niem zaopiekowali. Teraz więc stary niedźwiedź żyje sam. Starszy jego brat Akla był o wiele lepszy od niego, choć nie był również ozdobą swego rodu. Akli żoną była Pandora, największa i najsilniejsza kobieta tego szczepu. Prawdopodobnie te cechy jego żony powstrzymywały go od traktowania jej tak, jak jego brat traktował swoją żonę. Trzeci brat, Ojara był najlepszym z nich i jednym z najbardziej obiecujących ludzi swego plemienu. Mógł mieć dwadzieścia siedem lat, był wysokiego wzrostu, miał ciemne włosy i serdeczny pociągający uśmiech. On i jego przyjaciel Akiwa byli podporami swego rodu. Mieli obaj piękne, młode żony: Alo—Alo i Alerpa. Kiedy poznałem te młode pary, Ojara był mężem Alo—Alo. Gdy wkrótce potem do nich przyszedłem, znalazłem zmie-

nione stosunki. Teraz Alo—Alo siedziała na miejscu żony w namiocie Akiwa. Gdy dałem im do zrozumienia, że uważam, że źle zorientowałem się w sytuacji za pierwszym razem, albo też nie orientuję się obecnie, pełna kokieteryi młoda kobietka przechyliła się ku swojemu mężowi, wzięła jego głowę w swoje ręce i potarła nosem o jego nos, jak gdyby chciała powiedzieć: „Widzisz chyba, że tu nie może być mowy o jakimś złym zrozumieniu sytuacji”. Tarcie nosa o nos oznacza u Eskimosów to, co u Europejczyków pocałunek. Naturalnie powstrzymałem się już od robienia uwag. To zresztą był jedyny wypadek wymiany kobiet, jaki zdarzyło mi się zaobserwować. Obaj mężczyźni byli dzielnymi strzelcami, a kobiety, mimo młodego wieku, doskonałymi gospodyniami. Ich namioty leżały obok siebie. Na małym przylądku tuż przy rzece leży inny namiot. Musi on należeć do „grubej ryby”, tak wyjątkowo jest piękny i bogaty. Właściciel musiał zrobić dobry połów ryb, a wszystko zdaje się świadczyć o tem, że jego właściciel myśli o przyszłości, co u Eskimosów jest rzeczą rzadką.

Dowodem tego patrzenia w przyszłość są całe sznurzy ślicznych, małych lososi i pstrągów, porozwieszanych do suszenia. Już zdaleka słychać śmiech właściciela namiotu, Kachkochnelli. Był to człowiek w wieku między 40-tu a 50-ciu lat i jeden z najlepszych strzelców plemienia. Wykazywał on także rzadkie zdolności kupieckie. Ciągłe z kimś handlował. Rodzina jego składała się z żony i trojga dzieci: Żona, typ dorodnej chłopki, była zawsze słodka i uprzejma. Nazywaliśmy ją „teściową”. Kachkochnelli chciał bowiem koniecznie, abym kupił Ojary żonę, Alerpę, która była jego córką — w ten sposób

jego żona byłaby moją teściową. Oczywiście ta propozycja ogromnie nas ubawiła. Targ nie doszedł do skutku. W małym namiocie nieco dalej położonym mieszka Poieta, młodszy brat Atikleury ze swoją żoną Nalungją i małym synkiem. W namiocie ich jest ciasno, ale jak na Eskimosów względnie czysto i porządnie. Nalungja opiekuje się swoim synem z wznaszającą miłością. Zachowuje się przytem zupełnie jak kotka, liże całe jego ciało tak, iż ono się świeci. Zresztą malec nie jest nawet jej dzieckiem, otrzymała go w prezencie od jednej matki, która widocznie miała dzieci za dużo. Po tej „kąpieli” dziecko jest spragnione, co okazuje głośnemi wraskami. Wtedy dokonywa Nalungja takiej sztuki, jakiej jeszcze nie widziałem. Szybko bierze łyk wody do ust, potem zbliża je ruchem błyskawicznym do ust dziecka i z bajeczną zręcznością daje mu pić ze swoich ust. Ponieważ teraz przyszli goście, odkłada Nalungja dziecko na bok, aby gawędzić z przybyłymi. Chłopczyk tymczasem leżał spokojnie na skórze reniferowej i z zadowoleniem ssał swego „pocieszyciela”. Jest to albo flaszka ze smoczką, albo po prostu kawałek słoniny, w którą włożony jest długi patyk. Patyk ten położony jest wzdłuż ust, tak iż słonina nie może wpaść do gardła. Dziecko więc może pozostawione być samo i nic złego stać mu się nie może.

Rola matki w tym kraju nie jest do pozazdroszczenia. Niemal do dwóch lat — często nawet dłużej — bywa dziecko noszone w małym woreczku na plecach, lecz nie w kapturze, jak możnaby przypuszczać. Kaptur służy tylko do okrycia głowy gdy jest zimno. Byłby równie użyteczny, gdyby był o dwie trzecie mniejszy. Oczywiście, że taki jaki jest, przy-

daje się bardzo do ukrywania rzeczy skradzionych. Dziecko jednak bywa zawsze noszone w rodzaju worka, który jest tak mały, gdy jest pusty, że nie dostrzega się go na plecach. Tam leży owo maleństwo zupełnie nagie z zadartymi nóżkami jak żabka. Na plecach matki jest mu oczywiście bardzo ciepło. Aby zabezpieczyć dziecko od wypadnięcia, opasuje matka zwierzchnią suknię ścięgnem reniferowem, skręconem w gruby sznur. Ten sznur zapięty jest na przodzie dwoma guzami drewnianymi, albo rogowymi, tak iż można go rozpiąć w jednej chwili, gdy dziecko ma być wyjęte. Oczywiście, że potrzeba taka zachodzi bardzo często, a załatwiać ją trzeba z błyskawiczną szybkością. Widziałem jak niemowlęta w tych warunkach wyrywane zostawały z ciepłego schronienia, a następnie nagie przez kilka minut trzymane były na zimnie, wynosząc 50 st. Celsjusza. Zdawałoby się, że to zawiele dla tak małego dziecka, ale nie szkodzi mu to bynajmniej. Wesela u Eskimosów odbywają się cicho i spokojnie. Gdy dziewczynka ma lat czternaście przybywa do narzeczonego — naogół bywa odwrotnie — i mieszka z nim w domu jego rodziców. Dziewczyny wychodzą za mąż, gdyż rodzice chcą się ich pozbyć, a mężczyźni żenią się, aby mieć jeszcze jedno zwierzę robocze, gdyż naprawdę kobieta jest przez Eskimosów traktowana prosto jak zwierzę domowe.

Nawet nasz przyjaciel Uhu, którego namiot wznosi się na zachodniej stronie doliny, nie postępuje pod tym względem lepiej od innych. Teraz właśnie wraca z łukiem i strzałami z polowania na ptaki. Zdobyczą swą rzuca bez jednego słowa przed Kabłokę, która zajęta jest szyciem. Wie ona już czego od niej żądają i zaraz zabiera się do przyrządzenia ptaków. Tym-

czasem siada i Uhu, aby wypocząć po pracy całodziennej. Najpierw musi się pozbyć mokrych zabłoconych butów ze skóry fokowej. Nie byłby Eskimosem, gdyby miał zdjąć je sam — ot, prosto wyciąga nogi do żony. Ta w jednej chwili odkłada na bok



robotę, głowę pochyla tak, iż ta znajduje się pod nogami męża, chwyta mocno zębami za but — obcasów niema — i ściąga go w ten sposób. Nic sobie z tego nie robi, że ma usta pełne błota z rozmiękłych butów męża. Wtedy zrozumiałem dlaczego Eskimosi trą się nosami, zamiast się całować. Usta ich bowiem służą nie tylko do mówienia, są one uniwersalnym narzędziem, używanem do wszelkich możliwych

czynności. Dlatego są wyjątkowo rozwinięte i silne. Zęby mają kształt bardzo osobliwy. Gdy nasze są cienkie i ostre, zęby Eskimosów są szerokie i duże. Zgryzają zęby swe tak, iż po latach pozostają tylko korzenie, co u nas nigdy się nie zdarza. Za to nigdy nie słyszałem o bólu zębów u Eskimosów. Anuna, matka Uhu, widocznie miała jeszcze wszystkie zęby, ale były tak zniszczone, że ledwo wystawały z dziąseł. Jeśli chodzi o jakąś pracę, wymagającą siły, której podolać nie mogą, wtedy Eskimosi pomagają sobie zębami. Np. naprostować zębami krzywy ząb jest dla Eskimosa drobnostką, ale palcami tego zrobić nie może.

Eskimosi nie mają wyrobionego poczucia porządku, gdy przestają szyć, kładą igłę byle gdzie. I gdy po kilku godzinach potrzebują jej znowu, szukają, jakby w stogu siana. Wszystkie skóry się przerzucą, a namiot cały przewraca się do góry nogami dla odnalezienia igły. Przed naszym przybyciem mieli igieł bardzo niewiele. Posiadanie igły uważane było już za bogactwo. Ale zrobienie jej przedstawiało pracę nielada. Robił ją sam ojciec rodziny z kawałka żelaza lub rogu, zależnie od tego, co miał pod ręką. A praca ta świadczy o jego niezwykłej zręczności, gdyż zrobienie igły nietylko możliwej, ale zupełnie dobrej przy pomocy tak prostych narzędzi nie jest rzeczą łatwą. Coprawda Eskimos ma dużo czasu, ale chciałbym widzieć kogoś u nas, kto mając nawet czas po temu, wytrzymałby taką próbę cierpliwości.

Obok Uhu przez ścianę mieszka brat jego, Umiktuali ze swoją żoną, córką i synem. Umiktuali ma sławę świetnego łowcy i jest tak samo ceniony przez Eskimosów co Atikleura. To też rodzinie jego nie

braknie na niczem, posiada on całe mnóstwo skór i ubrań. Zresztą w mieszkaniach tych jest nieznośny odór rybi, wszystko czego się tknąć, przesiąknięte jest olejem rybnym.

Mali chłopcy wciągają się po lodzie i łowią dorsze, a dorośli w bieżącej wodzie pstragi. Szczupak łowi się na wędkę, której haczyk zrobiony jest ze skrzywionego gwoźdźca. Mały pędrak sześciolatek może w ciągu jednego dnia złowić dużą ilość ryb.

Jeszcze cztery namioty należą do tych Eskimosów, którzy stanowią nasze towarzystwo, ale u właścicieli tych namiotów nie byliśmy z wizytą. Trzech z nich poznaliśmy jako kłamców, próżniaków i uważaliśmy ich za nicponiów. Czwarty to Eskimos Ogluli Nulieiu, człowiek godny zaufania, który na lato połączył się z Eskimosami Nedżili.

Poza tem wymienię jeszcze Tulurnakto, który ciągle się przeprowadzał i mieszkał to tu, to tam. Jego rodzina uważała go za warjata, ale w rzeczywistości był on najmądrzejszy z nich wszystkich. Często razem z Uhu towarzyszył nam w naszych ekspedycjach.

O jednym zapomniałem — właśnie schodzi ze wzgórze. Bawił poza domem. Jest najstarszym w tym plemieniu i uchodzi za najręczniejszego czarownika. Aleingan Kagoptinner, albo „siwowłósy”. Mogę porównać go tylko ze starym, szcwanym lisek. Atikleura i Poieta są jego dziećmi, mieszka u tego ostatniego. Może mieć lat sześćdziesiąt, albo siedemdziesiąt, a jego czarne włosy i wspaniała broda są przypruszone siwizną, skutkiem czego nazwany został „siwowłósym”. Ma wygląd władcy mogącego rozkazywać i zdaje się, że istotnie wzbudza duży szacunek. Sam uważa się za najpierwszego w swoim rodzie, duma maluje się na jego twarzy. Nie mo-

głem zdać sobie sprawy, czy istotnie sam uważa się za wyższego od innych, czy też odgrywa tylko taką komedię. Zdaje mi się, że to ostatnie przypuszczenie jest słuszniejsze. Dowodził, że był na księżycu i opowiadał długo i szeroko o swoich wrażeniach. On sam, oczywiście według swej opowieści, odgrywał tam wielką rolę. Eskimosom, którzy tu na ziemi będą się stosowali do jego woli, zapewniał miejsce na księżycu. Mówił, że polowania na renifery odbywają się tam na niezmiernych przestrzeniach, a poza tem można mieć różne inne przyjemności. Tym, którzy nie zupełnie byli mu posłuszni przeznaczał miejsce na gwiazdach, gdzie naturalnie także czas jakiś przebywał — tych jednak, którzy absolutnie odmawiali mu posłuszeństwa, strącał na ziemię. Wszyscy niezachwianie wierzyli w te bajki. Gdy Uhu złamał pewnego razu obojczyk, leczyłem go bezskutecznie. Poprawa nastąpiła dopiero wówczas, gdy dopomógł mu Alleingan. Nie wiem jednak zupełnie na czem ta pomoc polegała. W tem plemienu utrzymało się podanie o rodzie olbrzymów, który zamieszkiwał ten kraj przed Eskimosami. Ród ten nazywał się „Tungí”. mówiono o nim zawsze z największym szacunkiem. Tungí byli znacznie więksi i silniejsi od Eskimosów i odziewali się skórą niedźwiedzi. Ruiny starych chat z kamienia cosanego uważali Eskimosi za domy tungi. Stary Alleingan poza innemi przechwałkami, twierdził jeszcze, że sam powalił ostatniego z rodu Tungí. I wszyscy mu wierzyli. Nikt nie był tak bezwstydnym, by prosić o pokazanie zwłok zabitego. Zresztą sztuk jego widziałem niewiele, był na tyle mądry, że wolał popisywać się przed inną publicznością. Uważałem go za wyrafinowanego, starego szarlatana, który wyzyskuje łatwowierność swoich ziem-

ków, dlatego starałem się mu przeciwdziałać, choć nie wierzyłem, abym mógł osiągnąć jakiś trwały rezultat.

WYPRAWIANIE SKÓR.

Wraz ze zbliżeniem się wiosny, przychodzi czas, gdy kajaki muszą być powleczone. Mężczyźni już dawno wykonali część pracy, która im przypada w udziale, ale kobiety opóźniły się nieco z przysposobieniem skór i nici. Teraz jednak wszystko jest gotowe i można przystąpić do złożenia kajaków. Zestawić kajak nie jest rzeczą łatwą, przeciwnie — jest wyczerpującą robotą, której nie może podolać jedna kobieta. Musi więc prosić o pomoc swoje przyjaciółki, z którą spieszą bardzo chętnie, gdyż wiedzą, że wkrótce same będą potrzebowały pomocy, gdy przyjdzie kolej na ich kajak. Zestawienie kajaka jest więc zbiorową pracą kobiet. Powłoka kajaka robi się tylko ze skóry samicy foki. Na jeden kajak potrzeba sześć skór. Wyprawianie skór odbywa się w sposób następujący: skórę się ściąga i oczyszcza z tłuszczu najdokładniej zapomocą noża „olo”, jakiego używają kobiety. Przy dokonywaniu tej czynności zwykle rozciąga się skórę na drewnianej desce. Poczem gryzie się ją i wysysa tak, aby usunąć nawet te odrobiny tłuszczu, jakich nożem nie można zeskrobać. Gdy w ten sposób skóra zostaje oczyszczona starannie z tłuszczu, zostaje zwinięta włosem nazewnątrz. Skórę zwiniętą w ten sposób wkłada się w inną skórę także włosem nawewnątrz i wszystko razem zawiesza się nad małym ogniem. Po dłuższem

leżeniu, włosy trzymają się tak słabo, że można je zeszkrobywać z łatwością paznokciem dużego palca. Gdy skóry są w ten sposób oczyszczone z włosów, zwija się każdą oddzielnie, poczem wszystkie razem kładzie się w zwykłą skórę fokową i zakopuje się w śnieg, aby przemarzły. Gdy przychodzi lato i śnieg zaczyna topnieć, skóry wyjmują się i zszywa. Potem gdy jeszcze są mokre, rozciąga się je na kajaku i zszywa. To rozciąganie wymaga dużej siły, muszą więc pomagać przyjaciółki. Gdy ta powłoka jest zszyta, wystawia się kajak z namiotu, aby wysechł. Podczas schnięcia skóra kurczy się i jest tak napięta jak na bębnie, przyczem przybiera kolor jasno-żółty i jest prawie przezroczysta. W taki sam sposób wyprawia się skóry na wierzchy obuwi i na podeszwy. Na wszystkie te potrzeby służy skóra fok, na podeszwy bierze się skórę samców, ponieważ jest najgrubsza. Skór na podeszwy nie wyprawia się tak długo, oczyszcza się je tylko z tłuszczu, rozciąga się i suszy. Skórę na obuwię przygotowuje się podobnie jak na kajaki, tylko nie wkłada się jej do ziemi, a suszy przy ogniu, oczyszcza z włosa zapomocą ostrego noża, później wygniata się zębami, dopóki nie nabierze odpowiedniej miękkości. Na wiosnę widzi się Eskimoski, nieustannie gryzące te skóry. Na ubranie używa się skór z jednorocznych młodych fok, na namioty używać można wszystkich skór tych zwierząt. Do jednego i do drugiego użytku nadają się także skóry reniferów.

POLOWANIE W KAJAKU.

Polowanie w kajaku ma największy urok dla Eskimosa. Wszystkie jego myśli i wysiłki związane są z morzem, a treść jego życia stanowią twarde walki, które stacza na falach morskich.

Nikt nie dał nam tak plastycznego obrazu Eskimosa w jego kajaku, jak Fritjof Nansen, który w swej książce: „Życie Eskimosa” opisuje jasno i wyraziście życie mieszkańców Grenlandji. Bądźmy przez jeden dzień towarzyszami Eskimosa podczas polowu. Już na parę godzin przed świtem wchodzi on na wzgórze, z którego może rozejrzeć się po horyzoncie i przekonać się jaka jest pogoda. Jeżeli jest zadowolony z wyniku swych obserwacji, wraca powoli do domu i wdziewa specjalny kajakowy kozuch. Śniadanie jego składa się z paru dobrych łyków wody.

Już przedtem kajak pozostawił na brzegu, narzędzia do polowu ułożył na swoim miejscu, a sam włoży w otwór kajaku, związuje z nim szczelnie kozuch, którym się odział, i wypływa na morze. Równocześnie z domów sąsiednich razem z nim wychodzą inni Eskimosi. Dziś mają polować na gatunek mniejszych fok, do których płynąć trzeba około dwóch mil na pełne morze.

Jest spokojnie i cicho. Wkrótce wypływają Eskimosi ze swych zatok i cieśnin. Po wielu godzinach dopływają do tych miejsc, gdzie mają polować. Widzą fokę wyglądającą z wody. Tu łowcy rozdzielają się i każdy płynie w inną stronę za zdobyczą. Boas, jeden z najrzeczniejszych łowców swojej wsi, dojrzał dużą fokę i podąży za nią, ta jednak schowała się pod wodę, trzeba więc czekać, nim foka znowu się ukáže.

Tam! Troszkę dalej ciemna okrągła głowa wynurza się z wody. Mocno nachylony w kajaku, wiosłuje Boas powolnymi, cichymi uderzeniami i zbliża się do zwierzęcia, które leży w zupełnej beztrosce z głową podniesioną do góry i buja się spokojnie na falach. Ale nagle zaczyna się rozglądać uważnie. Dojrzało odbłask wiosła i przygląda się nieprzyjacielowi swymi wielkimi okrągłymi oczami. Ten zatrzymuje wiosła, unika najmniejszego poruszenia i daje się nieść spokojnie kajakowi. Foka nie zauważyła nic podejrzanego, oddaje się więc ponownie swej beztrosce. Odrzuca w tył głowę, wyciąga pysk w górę i kapie się w rannem słońcu, które błyszczy na jej ciemnej, mokrej skórze. Tymczasem szybko zbliża się kajak. Ilekroć foka spojrzy na niego, Boas zatrzymuje ruch wiosel i siedzi bez ruchu, ale gdy zwierzę odwróci oczy w inną stronę, znowu szybko mknie naprzód. Zbliża się na odległość, z której może ją osiągnąć, przygotowuje harpun, patrzy czy lina dobrze jest umocowana na kajaku, daje jeszcze jedno uderzenie wiosła i oto, gdy zbliża się ważna chwila, foka spokojnie chowa się pod wodę. Nie przestraszyła się jednak, więc wkrótce wypływa znowu. Trzeba czekać. To zajmuje bardzo wiele czasu, gdyż foki potrafią nieprawdopodobnie długo siedzieć pod wodą. Oczywiście czekającemu czas dłuży się w nieskończoność. Jednak Eskimos ma cierpliwość godną podziwu, porusza tylko głową, celem badania sytuacji, poza tem siedzi zupełnie nieruchomo. Wreszcie nieco dalej ponownie ukazuje się nad wodą głowa foki. Ostrożnie obraca Boas swój kajak i niezauważony przez przeciwnika, podpływa tak, iż jest teraz tuż obok niej. Wtedy nagle foka dostrzeża go, patrzy nań przerażonymi oczami i znika pod wodą. Ale upływa

zaledwie kilka sekund i zwierzę znowu ciekawie wygląda z wody. Teraz znajduje się już tak blisko, że można ją osiągnąć. Boas trzyma harpun w pogotowiu — jeszcze jedno uderzenie wiosel — i rzuca go z rozmachem. Ta prymitywna broń, jakby strzała wyrzucona z łuku, przeszywa z sykiem powietrze, ciągnąc za sobą linę, która drga i kręci się węzowato. Trafiona foka rzuca się gwałtownie i zgina kark, aby zanurzyć się znowu, wtedy harpun wbija się w ciało aż po drzewce. Tylko jeszcze zadnia część jego ciała uderza rozpaczliwie o wodę, która się pieni, poczem foka tonie, ciągnąc linę za sobą. Teraz Boas z błyskawiczną szybkością rzucił za siebie pęcherz, przywiązany do końca liny. Pęcherz tańczy na powierzchni wody, zdaje się, że zaraz się zanurzy. I rzeczywiście znika pod wodą, ale niedługo wypływa znowu. Ku niemu wiosłuje Boas z całą szybkością. Tymczasem chwytła drzewce, które foka zrzuciła z siebie, a które pływa po wodzie. Jest znowu gotowe do rzutu. Wkrótce wypływa i foka. Wściekła—gdyż o ucieczce niema już mowy — zwraca się do swego prześladowcy, rzuca się najpierw na pęcherz, rozrywa go i kieruje się w stronę kajaku. Boasowi grozi silny atak. Zwierzę pochyla grzbiet i z otwartą paszczką po przez fale rzuca się naprzód z taką siłą, że aż woda syczy. Teraz może łowca chybiony rzut przypłacić życiem. Jednak Boas z całym spokojem podnosi dzidę i rzuca ją w otwartą paszczę zwierzęcia tak zręcznie, że ostrze wystaje z karku. Foka wstrząsa się gwałtownie, głowa jej opada, ale w tej chwili wyprostowuje się w wodzie. Z szeroko otwartej paszczy sączy się krew i foka wydaje dziki, wstrząsający ryk, podczas gdy błona nad pyskiem rozdyma się do niezwyklej wielkości. Potrząsa głową tak

gwałtownie, że działo drży i chwieje się na wszystkie strony, nie zdoła jednak ani jej złamać, ani wyrzucić z gardzieli. W tej chwili Boas rzuca dzidę ponownie, mierząc w płuca i serce. Foka zdycha, walka jest skończona. Boas pod pływa do zwierzęcia i jeśli ono jeszcze żyje, dobija je długim, ostrym nożem.

Tymczasem Tobjasz, także znany łowca, nie miał takiego szczęścia jak Boas. Polował najpierw na jedno zwierzę, które ukryło się pod wodą i więcej się nie ukazało. Wreszcie dojrzał inne. Gdy zaczął wiosłować ku niemu, wypłynęła nagle przed nim jeszcze jedna foka i została odrazu harpunem przebita. Bardzo duża jest ta foka i rzuca się w wodzie jak szalona. Lina przytwierdzona do przedniej części kajaku obraca się z wielką szybkością i szarpie mocno kajakiem. Zanim Tobjasz się spostrzegł, woda pod pływa mu już pod ramiona. Widać tylko jego głowę i dziób kajaku, wystający z wody. Sytuacja zdaje się być beznadziejna. Wszyscy, którzy znajdują się w bliskości, wiosłują z całych sił, choć mało mają nadziei, aby mogli w porę przyjść z ratunkiem. Jednak Tobjasz jest wiosłarzem znakomitym i pomimo fatalnej sytuacji, utrzymuje równowagę, przeciwstawiając się usiłowaniom zwierzęcia pogrążenia go w głębiach morskich. Nakoniec zwierzę wyplęta znowu i w tejże chwili Tobjasz chwytając za dzidę i zadaje mu śmiertelne uderzenie w głowę. Inni, gdy nadpłynęli, mogli już tylko pomóc Tobjaszowi w umocowaniu zdobyczy przy kajaku, poczem otrzymali po kawale słoniny. Zachwycali się przytomnością umysłu i zręcznością Tobjasza i długo o tem rozprawiali.

Dotąd pogoda była ładna, a morze mieniło się w promieniach słońca, ale w ostatnich godzinach cięż-

kie, wielkie chmury zaczęły się zbierać na południowej stronie horyzontu. Zaledwie Tobjasz przytroczył fokę do kajaku, usłyszał głuchy huk i dojrzał jakby dym, czołgający się po wodzie. To oznacza zbliżanie się burzy, a dym ten — są to rozbite chmury, które wiatr gna przed sobą. Ze wszystkich burz najbardziej obawia się grenlandczyk burzy południowej, ponieważ bywa ona bardzo gwałtowna i powoduje bardzo silne falowanie morza. Teraz corychlej dobić do brzegu! Ci, którzy nie potrzebują holować upolowanych fok, mogą posuwać się najszybciej, jednakże starają się być w jednej linii z innymi. Nie ujechali daleko, a już dopędziła ich burza. Morze całe pieni się i szumi. Wiosłujący czują nawałnicę na swoich plecach, jak olbrzymia, który unosi ich i gna naprzód. Sytuacja staje się poważna. Fale wznoszą się, jak wysokie wieże, poczem załamują się i przewalają jedne przez drugie. Żeglarze śpieszą ku lądowi, ale wiatr dmie z boku. Ziemia jest jeszcze daleko. Poprzez zasłonę wodną nie można nic dostrzec, nie widać też ludzi, każda nowa fala jakby ich grzebała w odmętach morskich, tak iż tylko tu i tam ponad spienionymi falami ukazuje się głowa, ramię lub wiosło.

Nadpływa znowu olbrzymia góra wodna, zdaleka już mieni się czarno i biało. Wznosi się tak wysoko, że prawie zakrywa niebo. Eskimosi szybko przycocowują rzemieniami wiosła do kajaku i pochylają się tak, iż spiętrzone fale przewalają się przez nich. Przez chwilę zdaje się, iż wszystko zniknęło. Inni czekają z napięciem, aż kolej przyjdzie na nich. Woda przewala się nad nimi i teraz znowu wszyscy wiosłują dalej. Zwykle jednak takie fale olbrzymie przychodzą jedne za drugimi i bywają coraz silniej-

sze i potężniejsze. Eskimosi układają wiosła płasko na kajaku, pochylają się naprzód i gdy biały wodospad z hukiem pioruna przewala się przez nich, rzucają się sami w czelusć morską i w ten sposób przełamują jego siłę. Znowu zniknęli na chwilę — nagle wynurza się jeden kajak na prawym boku, a drugi do góry dnem.

Najbliższy sąsiad dąży z pomocą, ale znowu napływa nowa góra wodna i każdy musi myśleć o sobie. Dwóch się wywróciło, ale z tych jeden natychmiast wypływa i pierwszą jego myślą jest nieść pomoc swojemu towarzyszkowi. Zbliża kajak swój ku tonącemu, kładzie wiosła na oba kajaki, chwytając pod wodą ramię swego przyjaciela, z całą siłą ciągnie go ku sobie, tak, iż tamten może chwycić wiosło i w jednej chwili wyprostowuje się. Skóra tymczasem w jednym miejscu obłuźniła się przy siedzeniu i nalało się do niego wody, ale na szczęście nie tyle, aby nie mógł posuwać się naprzód. Tymczasem zbliżyli się i inni, chwytają pogubione wiosła i znowu mogą płynąć dalej.

Tym, którzy holują fokę, jest znacznie ciężiej, są zwykle ostatni, gdyż wielkie cielska uderzają mocno o kajaki. Myślą już o tem, aby porzucić swą zdobycz, ale czarne fale odpływają, więc chcą jeszcze próbować, czy uda im się płynąć dalej. Chwile, w której Eskimos holuje swą zdobycz w zatoce, a z brzegu witają go rozjaśnione szczęściem twarze jego domowników, należą do najwspanialszych momentów w jego życiu. Już zdaleka, będąc jeszcze na morzu, widzi ich w duchu i cieszy się jak dziecko, nic też dziwnego, że zdobycz swą porzuca w wypadku ostatecznym.

Przetrawszy złą nawałnicę, zbliżają się wreszcie

do lądu. Po drodze znajdują odpoczynek na kilku małych wysepkach, które leżą dalej na południu. Morze się uspakaja. Im bardziej zbliżają się do lądu, tem lepiej i szybciej wiosłują.

Tymczasem w domu kobiety są w wielkim strachu. Gdy burza się rozpoczęła, pobiegły na wzgórze, które jest ich punktem obserwacyjnym, albo na przylądki, wysunięte w morze. Zbierają się w gromadki, wyglądając ojców, mężów, synów i braci. Stoją tak, przytulone do siebie, drżąc z zimna. Strach i lęk wyostrza ich wzrok tak bardzo, iż mogą dostrzec zbliżające się czarne punkciki na horyzoncie. Całe wybrzeże rozbrzmiewa radosnym okrzykiem: „Jada!” Zaczyna się liczenie ile jest tych punktów: „Brakuje dwóch”, „Nie, tam jeszcze jeden” — „Nie, wszyscy są, wszyscy!”

Po sposobie wiosłowania, albo po kształcie kajaku — chociaż wszystkie kajaki podobne są do czarnych punkcików — zaczynają rozpoznawać kto gdzie. Nagle rozlega się dziki krzyk radości: „Boase kaligpok”, (Boas holuje) poznają go łatwo po wielkości. Ta radosna nowina idzie od domu do domu, dzieci biegną i niosą ją od okna do okna, a na wzgórzu gromadka rozpoczyna skoczny taniec. Potem znowu rozlega się wesoły okrzyk: „Ama Tobiasz kaligpok” (Także Tobiasz holuje) i znowu ta wiadomość idzie od domu do domu. I jeszcze rozbrzmiewa: „Amo Simo kaligpok”. „Amo Daniel kaligpok”. I znowu wybiegają kobiety na wzgórze, aby patrzeć na spienione i falujące morze. Można już wyraźnie dostrzec jedenaście czarnych punktów, zbliżających się powoli. Wreszcie wpływają do zatoki pierwsze kajaki. Są to te, które nie holują zdobyczy. Ruchami lekkimi i pewnymi jeden po drugim dobijają do brze-

gu, tańcząc na grzbiecie fal. Witani są przez kobiety, które wciągają łodzie na brzeg.

Później ukazują się ci, co holują foki. Ci muszą wjeżdżać ostrożnie. Najpierw odczepiają od kajaku upolowane zwierzęta i starają się przedewszystkiem o to, aby żony wciągnęły je na brzeg. Później ładują sami. Podobnie jak ci, co poprzednio przybyli, myślą tylko o sobie i o swych narzędziach, które muszą być złożone na właściwe miejsce. Na swą zdobycz nie rzuca już nawet spojrzenia, pozostawiając całą dalszą pracę wyłącznie kobietom.

Często bardzo polowanie na fokę przedstawia dużo większe niebezpieczeństwo niż to, które tu opisałem. Można sobie wyobrazić, że będąc tak zamkniętym w kajaku, nie ma się swobody ruchów, to też nicpodobna rzucić się szybko naprzód, albo w bok. Jeśli np. fokę napadnie nagle z boku, wtedy trzeba mieć ogromnie dużo zręczności i przytomności umysłu, aby uniknąć jej uderzenia, albo tak szybko się obrócić, aby udaremnić cios śmiertelny, nim wściekłe zwierzę rozbije kajak na kawałki. Niemniej groźna bywa sytuacja, gdy zwierzę atakuje od dołu, albo nagle ukaże się tuż przy kajaku, gdyż porusza się ono błyskawicznie szybko, jest bardzo odważne i silne. Gdy rzuci się na kajak, ten zaczyna tonąć, pozostaje już mała nadzieja ratunku. Często chwytają wtedy człowieka, zanurzonego w wodzie, albo rzucają się na tonący kajak i wygryza dziury w jego dnie. Wówczas konieczne jest niesłychane panowanie nad sobą i zachowanie zimnej krwi, aby z niesłychaną szybkością móc się wyprostować i walkę ze zwierzęciem podjąć na nowo. Pomimo to zdarza się, iż fokę staje się zdobyczą nawet takiego łowcy, którego kajak wywrócił się podczas walki.

Jeszcze gorszym przeciwnikiem jest mors. Gdy Eskimosi mają na niego polować, to zwykle wybierają się w kilku razem, aby jeden drugiemu pomógł w potrzebie. Jednak dość często jeden człowiek ma dość odwagi, aby sam stawić czoło temu potworowi.



Mors jest jak wiadomo dużym zwierzęciem, mającym do 5-ciu metrów długości, skórę ma grubą, twardą, dużą warstwę tłuszczu, nadzwyczaj twardą czaszkę i ciało ociężałe. Trzeba mieć bardzo silne, pewne ramię, aby móc je pokonać. Jak tylko zwierzę zostanie zaatakowane, naciera na przeciwnika i swemi ohy-

dnemi kłami, może go w straszny sposób poszarpać. Jeśli w pobliżu są inne morsy, otaczają natychmiast kajak i rzucają się wszystkie razem na łowcę. Nawet szwedcy łowcy ze swemi długimi strzelbami, dzidami i siekierami obawiają się bardzo morsów.

Zaatakowanie takiego zwierzęcia, gdy się ma tylko broń Eskimosa jest czynem niezwyklej odwagi. Jednak dla niego czyn taki jest rzeczą zwykłą. Walczy z niebezpiecznym przeciwnikiem, trzymając przygotowaną dzidę w ręku i oczekuje spokojnie ataku zwierzęcia. W odpowiednim momencie rzuca weń dzidę, z zimną krwią obliczając wszystkie szanse. Przy polowaniu na morsa najważniejszą rzeczą jest zimna krew, gdyż często powstają trudności, których przewidzieć nie można. Tem tłumaczy się duża liczba nieszczęśliwych wypadków. Opowiadano mi, iż przed kilku laty zaatakowany mors schwycił kajak od dołu, przytem długi kiel zwierzęcia przebił spód kajaku, biodro Eskimosa i zrobił nawet dziurę w górnej części kajaku. Towarzysze pośpieszyli łowcy z pomocą, ten oswobodził się od zwierzęcia i udało mu się pomimo rany i dziury w kajaku, powrócić do domu przy pomocy przyjaciół.

POLOWANIE NA RENIFERY.

Zbliża się ważna pora roku, gdy jeziora i rzeki przybierają; Eskimosi zaczynają wtedy polować na renifery. Jest to dla nich najcudowniejszy okres roku. Są pełni radości, bo objadają się świeżem mięsem. Już w maju renifery przebywają cieśninę Brothia, ale zabicie tego zwierzęcia z łuku bywa wtedy

tylko szczęśliwym przypadkiem. Dopiero gdy lody topnieją i można kajaki spuścić na wodę, rozpoczyna się właściwe polowanie.

Kajak jest już odpowiednio do polowania przygotowany. Myśliwy bierze specjalne dwie dzidy, które przytroczone są do ucha ze skóry renifera. Myśliwi dzielą się na dwie grupy: jedni są w kajakach na wodzie, inni czekają na lądzie. Jak tylko zwierzęta się ukażą, Eskimosi otaczają je wielkiem kołem i pędzą do wody. Gdy renifery są już w wodzie, wiosłarze wskakują do swoich kajaków i zabijają dzidami jednego po drugim. Później wyciągają je na brzeg, gdzie już oczekują myśliwi, którzy je zabierają.

W lecie, gdy w całym kraju pełno jest reniferów, polowanie urządza się najczęściej nad dużem jeziorem, a przedewszystkiem wybiera się takie, w którem ziemia półwyspem wżyna się w wodę. W tym czasie Eskimosi nie łączą się w duże gromady, to też często, gdy chcą zapędzić renifery na półwysep, łowców bywa zamało. Ale umieją sobie radzić. Pośpiesznie robią kukły i ustawiają je wkoło. Gdy renifery nadciągają, biorą kukły za ludzi i tak cel zostaje osiągnięty. W ten sposób udaje się często nawet nielicznym łowcom całe stada reniferów zapędzać do wody. A gdy zwierzęta są w wodzie — już po nich! Rzadko któremu z nich udaje się uciec i uniknąć śmierci. Według opowiadania Uhu, podział łupu odbywa się w następujący sposób: Cztery piąte otrzymują myśliwi w kajakach, a piątą część ci, którzy są na lądzie. Zresztą podział ten nie ma znaczenia, gdyż Eskimosi jedzą przeważnie wszyscy razem, nie zostawiając ani kaska. Skóra i lepsze części zwierzęcia stanowią własność tego, kto je zabił. Po polowaniu, które przyniosło obfity łup, Eskimosi już

na miejscu najadają się do syta, podczas ściągania skóry. Pracę tę wykonywują bardzo starannie, gdyż każda skóra przedstawia dużą wartość. Większą część mięsa przechowują w składzie, zrobionym bardzo porządnie z ostrych kamieni, tak żeby nie mógł do niego dostać się lis. Pomimo tych ostrożności, udaje mu się czasem zakraść do składu i nieprawdopodobną wprost rzeczą jest, jak wielkie spustoszenie może zrobić w krótkim czasie. W lecie naturalnie mięso psuje się bardzo prędko, ale co to szkodzi! Polyka się je z takim samym apetytem jak świeże.

Jedno było dla mnie zupełnie jasne, a mianowicie, że rodzaj życia, jaki prowadzą Eskimosi nauczył ich nie marnować nic, co można zjeść.

Pewnego dnia poprosił mnie stary Eldro o pozwolenie zabrania czegoś, co leżało na wzgórzu, a było moją własnością. Nie zrozumiałem dobrze, o co mu chodziło i myśląc, że chce zabrać kawałek wyrzuconego drzewa lub blachy, zgodziłem się na jego prośbę. Odszedł rozpromieniony, dziękując mi wielokrotnie. Po chwili zeszedłem na dół i zobaczyłem, jak Eldro siedział na pochyłości, bardzo czemś zajęty. Zbliżyłem się bardzo zaciekawiony i zobaczyłem, że Eskimos wrywa żołądek z zabitego renifera, który leżał już od jesieni. Psy moje kręciły się w tym miejscu, ale padliny nie tknęły. Eldro tymczasem uśmiechał się słodko do niespodziewanej zdobyczy i powiedział mi, że żona będzie zachwycona z powiększenia zapasów. Zrobiłem uwagę, że nie powinien tego być zbyt pewnym. Ale następnego dnia przyszedł stary „gentleman”, przyniósł pozdrowienia i podziękowania od żony i ofiarował mi tuzin pięknych pstrągów.

Polowania odbywają się przeważnie w lecie. Za-

raz po zabiciu reniferów, przynosi się do domu ich skóry, udźce, łopatki, ozory i żyły. Te ostatnie zwłaszcza bardzo starannie się przechowuje. Żyły z karku zwierzęcia są najdelikatniejsze i służą za nici. Inne używane są, jako nici grube, a grubością swoją przypominają szpagat. Jak tylko myśliwy wraca ze swą zdobyczą do domu, natychmiast żona jego rozwiesza żyły, aby wyschły. Mięso pochłaniają od razu, a na deser zjadają szpik i kości. Trzeba się bardzo strzec, aby do rozłupywania tych kości używać narzędzi żelaznych, lecz kościanych, gdyż użycie narzędzi żelaznych mogłoby przynieść myśliwym niepowodzenie w łowach. Pozostałe kości zakopuje się starannie do ziemi, aby ich psy nie wygrzebały, bowiem gdyby to się stało, myśliwy do końca roku nie zabiłby już ani jednego zwierzęcia. To samo odnosi się do ości rybich w czasie wielkich połowów. Naturalnie każdy rozumie, jak biedne psy źle na tem wychodzą.

Po skończonem jedzeniu, cisza zalega we wszystkich namiotach. Psy wygrzewają się na słońcu, pełne zadowolenia pomimo pustych żołądków. W namiotach słychać wybuchy wesołego śmiechu i głośnych żartów. Kajaki na brzegu umieszczone są wysoko w obawie przed psami. Powoli jeden namiot zamyka się po drugim. Niedzili śpi i niczem nie bywa zamacony głęboki spokój nocy letniej. Czasem tylko tu i owdzie odezwie się sowa, która nigdy nie wypoczywa.

BUDOWA DOMÓW LODOWYCH.

Jeżeli lato jest ładne i pogodne, trwa bardzo krótko i wczesnie nadchodzi jesień. Ale o niej niema co mówić, bo właściwie po lecie prawie bezpośrednio przychodzi zima. Wody zamarzają i spada śnieg; w życiu Eskimosa jest to okres najprzykrzejszy. Lód nie jest dość gruby, aby mógł być zużyty jako materiał budowlany. Przesąd nie pozwala Eskimosowi rozpalać ognia w namiotach. Mieszkania ich w tym czasie przedstawiają się bardzo nędznie, gdyż pełne są wilgoci i chłodu. Wszyscy też bez wyjątku zapadają na ciężkie zaziębienia.

Polowania już się skończyły, choć od czasu do czasu spotyka się jeszcze renifery. Liczne gromady kamieni, które widać dokoła, świadczą o dobrych łowach. Każda taka kupa kamieni — to skład zawierający zapasy mięsa, częstokroć z kilku reniferów. Każda rodzina ma dosyć skór i nici dla sporządzenia ubrań, może więc zima nadejść. Większość Eskimosów siedzi w swych namiotach, czekając z budową domów lodowych, aż napada więcej śniegu. Jednak niektórzy z nich już w tej porze zabierają się do budowania „iglu” z lodu. Jednym z takich budowniczych jest Uhu.

I dobrze uczynił, budując swoją „iglu”. Zebrały się bowiem groźne chmury i w okamgnieniu rozpełtała się jedna z tych burz, dobrze znanych mieszkańcom podbiegunowych krań. Burze te sprowadzają takie zamieci śnieżne, że o dwa kroki nic nie widać. W namiotach jest zupełnie ciemno, wichura wdziera się do wewnątrz. Tylko Uhu siedzi w swoim domku i uśmiecha się z poczuciem wyższości, jemu burza nie może wyrządzić żadnej krzywdy. Burze w tych oko-

licach kończą się równie nagle i niespodziewanie, jak się zaczynają. Gdy Eskimos budzi się nazajutrz, wkoło panuje wielka cisza dnia zimowego. Morze pokryło się powłoką lodową i potworzyły się góry śniegowe, które w wielu miejscach dosięgają wysokości kilku metrów. Teraz niema już powodu, dla którego należałoby zwlekać z budowaniem domów — przeciwnie, należy śpieszyć się, gdyż Eskimosi strasznie wymarзли tej nocy. Wkrótce wszyscy wychodzą z namiotów i pilnie szukają miejsca ciepłego, zacisznego, osłoniętego od wiatru i niezbyt oddalonego od wody, aby mieszkańcy nie potrzebowali jej szukać daleko.

Chcąc mieć pojęcie, jak zbudowana powinna być wzorowa chata, musimy odwiedzić Atikleurę, który jest mistrzem w budowaniu „iglu”. Stoi on właśnie u stóp góry i daje znaki Nalungji, że znalazł odpowiednie miejsce i że trzeba mu przynieść łopatę. Z wyboru tego miejsca widać, że Atikleura jest człowiekiem praktycznym, a przytem niepozobawionym zmysłu piękna. Miejsce to jest dobrze osłonięte od północy, wschodu i zachodu, zwłaszcza zaś wzgórza, leżące styłu chronią je dobrze od wiatru północnego. Nic nie zasłania widoku od strony południowej, tak że Atikleura będzie miał dużo słońca w swojej chacie. W pobliżu jest małe jeziorko, które dostarczy rodzinie doskonałej wody. Nalungja przyniosła łopatę. Zrobiona jest z deski drewnianej, którą otrzymał Atikleura od mieszkańców południowych drogą wymiany. W Nedżili niema wcale drzewa, w okolicach tych nie można znaleźć na falach morskich szczątków tego cennego materiału. Łopata zrobiona jest bardzo praktycznie, aby była mocniejsza, obito ją pod spodem kośćmi renifera.

Przedewszystkiem Atikleura odgarnia łopatą gór-

na warstwę miękkiego śniegu, w miejscu, w którym ma stać jego chata. Potem wyjmuje nóż, umieszczony w pochwie, zawieszony na haczyku przyszytym na plecach do kurty skórzanej anoraka. Jest to nóż olbrzymi i mocno przstraszyć się musi ten, kto go widzi po raz pierwszy w życiu. Ostrze jego jest tak wielkie jak u noży rzeźniczych i zrobione jest z żelaza, otrzymanego z południa. Rękojeść jest z drzewa i ma około 30 cm. długości. Atikleura chwytając za rękojeść oburącz i wykrawa kawały lodu jeden po drugim. Kawały te, równe jak bloki, mają dwie i pół stopy długości, dwie stopy szerokości i cztery cale grubości. Wobec tego, iż otrzymuje je się w tak prosty sposób, na samym miejscu budowania ma się materiału do budowy pod dostatkiem. Z prawdziwą przyjemnością patrzy się na pracę dobrego budowcy. Wszystkie części dopasowane są do siebie bardzo dokładnie. Atikleura wykazuje na tem polu prawdziwe mistrzostwo. Ani jeden blok wycięty przez niego nie pęknie, pomimo, iż zdaje się, że czynność swą wykonywa jakby od niechcenia. Jedno uderzenie noża tu i tam, potem lekkie kopnięcie i cienki lądny płat oddziela się od masy śniegu. Wszystkie bloki wycięte ręką Atikleury są tak równe, iż zdaje się jakby były zrobione podług jednej miary.

Chatę buduje się w formie spiralnej, jak stóg siana, albo ul, bloki układa się szczelnie jeden przy drugim. Kładzie się je tak, iż dobrze przylegają do siebie, dzięki czemu ściany są bez szczelin i nie przepuszczają powietrza. Zręczność budowniczego ocenia się według grubości ścian jego chaty. Ale nawet przy takiej sprawności, jaką odznacza się Atikleura, szczeliny między blokami są nieuniknione. Zadaniem Nalungji jest wypełnienie tych szczelin. W tym celu



musi ona przede wszystkim rozbić śnieg na pył, bo wtedy tylko jest on zdolny do zapełnienia szczelin. Tym śniegiem obsypuje się bloki śniegowe, gdy są już ułożone, tak więc nawet najdrobniejsze szczelinki są nim utkane. Ściany wznoszą się szybko. Atikleura wygląda tak, jakby wpadł w skrzynię z mąką, cały okryty jest śniegiem. Jego ubranie, włosy, broda białe są jak kreda. Długie rękawice chronią go od tego, aby śnieg nie dostał się do rękawów anoraka.

Zrobienie dachu przedstawia ogromne trudności dla niewtajemniczonego w tę sztukę. Ile bloków lodowych spadło mi na głowę, gdy próbowałem tej pracy. Ściany muszą zbliżyć się coraz bardziej ku sobie, im bliżej są dachu i patrzący z zewnątrz ma wrażenie, że ostatni blok poziomo wisi w powietrzu, nie mając żadnego oparcia. Ten ostatni blok, który leży na szczycie jest zwykle trójkątny. Musi być poprostu wyrzucony z otworu, który ma wypełnić, aby mógł z zewnątrz go pokryć. Zdaje się, że jest to zadanie niewykonalne, ale niema rzeczy niewykonalnych dla Eskimosa. Jedną ręką trzyma blok nad otworem, a drugą ręką wycina go w kształcie klina. Gdy go spuści, pasuje do otworu jak ulany.

Tymczasem Nalungja przy pomocy Errery obsypała chatę z zewnątrz drobnym śniegiem, tak iż cała chata wygląda z zewnątrz jak kupa śniegu. Ładne linie bloków zatarły się, przysypane śniegiem. Ale szczeliny chaty są już wypełnione, gdyż śnieg wciska się wszędzie, w najmniejszą nawet szczelinę. Budowniczego jeszcze nie widać. Zamknięty jest wewnątrz chaty i dalej gorliwie pracuje. Wreszcie ukazuje się w ścianie śniegowej długi nóż, który

szybkim obrotem wykrawa otwór dostatecznie duży, aby Atikleura mógł przezeń wyjść.

Zdziwiłem się, że otwór ten wyciął tak wysoko, gdyż we wszystkich chatach, które widziałem, otwór ten znajdował się nisko, tuż nad ziemią. Teraz przez ten otwór wchodzi do chaty Nalungja i ja za nią, aby zobaczyć, jak jest wewnątrz. Zrozumiałem od razu dlaczego otwór znajduje się tak wysoko. Atikleura wyciął go nad łóżem, aby ułatwić wejście. To łóż zrobione jest ze świeżego śniegu, który znajdował się wewnątrz chaty. W przeciwnym kącie chaty znajduje się wzniesienie, składające się z dwóch bloków śniegu. Są oparte kantami na ziemi, a trzeci leży na nich i służy za stół. Gdy wyjście jest zrobione, gospodarz zaczyna znosić i wrzucać do chaty całe masy skór jedne na drugie. Potem przychodzi kolej na naczynia domowe: rusel do suszenia, kubek do wody (zrobiony ze skóry fok), garnki do gotowania, lampę olejną. Następnie wrzuca się żywność: słoninę, mięso, ryby, wreszcie osobiste rzeczy kobiety. Zdaje się, że wszystko jest już gotowe i pani Nalungja patrzy na mnie pytająco, czy chcę wyjść, a raczej wypełznąć. Nie mam pojęcia co będzie, ale chcę zostać z ciekawości. Niech się dzieje co chce! Ale jestem przerażony, gdy widzę, że otwór nagle ktoś zamyka i ja z Nalungją jestem zamurowany w tej chacie śniegowej. Ona jednak nie troszczy się o mnie zupełnie i zaraz zabiera się do pracy. Przede wszystkim podnosi ciężką lampę olejną i stawia ją w poprzek na małym stole śniegowym, przed łóżem. Lampa zrobiona jest z jakiegoś kamienia, który Eskimosi otrzymali od swoich przyjaciół z południa. Ma kształt półksiężyca, jest ciężka i nieładna, opiera się na trzech kościach położonych na płycie śniegowej

w ten sposób, że wewnętrzna część księżycy obrócona jest do środka chaty, a zewnętrzny brzeg do jej ścian. Teraz Nalungja przynosi worek z tłuszczem, wyjmując z niego kawałek zmarzniętej słoniny, który tłucze, dopóki nie zmieknie pałką specjalnie do tego użytku wyrobioną z kości pizmowca. Później wyjmując z jednej skrzyneczki małą kępkę mchu, macza ją w tranie i robi rodzaj świeczki. Potem przy pomocy drewnianych, które opisaliśmy powyżej, roznieca ogień. Wkrótce zaimpromiowane świeczki dają jasny wesoły blask. Słoninę zbita kładzie na lampie, a knot z mchu układa się wzdłuż jej prostego wewnętrznego brzegu. Knot oblewa się tranem i zapala się płonącymi kępkami mchu. Wkrótce pali się knot i wspaniały ogień rozjaśnia całe wnętrze dużej dostatniej chaty. Dziwię się ogromnie na co jej taki duży ogień, gdy nie urządziła jeszcze chaty, gotów jestem nawet zarzucić jej rozrzutność w użyciu cennego tranu — zatrzymuje mnie jednak w tym sądzie myśl, że Eskimos nigdy nic nie czyni bez wyraźnego celu. Myśl ta wkrótce okazuje się słuszną. Powoli w chacie daje się odczuwać duże gorąco, a jest ono potrzebne do ostatecznego spojenia poszczególnych części ścian. Widzę, jak płyty śniegowe tają w ciepłe powietrze i zlewają się z sobą tak, iż tworzą jednolitą, ściśle spojeną ścianę śniegową.

Nalungja tymczasem nie próżnowała i doprowadziła do porządku łożo. U spodu na śniegu leży nieprzemakalne pokrycie kajaka, które na jesieni zdejmują się z czółna, a które zabezpiecza od wilgoci skóry reniferowe, leżące na niem. Skóry te ułożone są bardzo ładnie i posłanie prawdziwie ponętnie wygląda. Teraz Nalungja napełnia garnek śniegiem i zawiesza go nad ogniem na dwóch sznurach, przy-

macowanych kośćmi do ścian. Rodzina musi się pożywić po pracy całodziennej. Po pół godzinie Nalungja daje znak mężowi, że może wejść do chaty. Ten tylko na to czekał. Szybko robi otwór w ścianie, tuż przy ziemi, ale tak niewielki, że zaledwie można przezeń wejść. Za chwilę Atikleura jest już w chacie. Ściąga swe mokre rękawice i rzuca je Nalungji, która je podnosi, wyżyma i kładzie na ruszcie od suszenia. Ten zrobiony jest z kości renifera, pokryty siatką z żył reniferowych i ustawiony nad garnkiem, niezbyt blisko ognia. Później przychodzi kolej na ubranie, które najpierw zostaje dobrze wytrząśnięte, a później wytrzepane małym kijem drewnianym, który nazywa się anauta. Ubranie jest w ten sposób tak dobrze oczyszczone ze śniegu, że nawet najmniejsza odrobina śniegu nie pozostanie w niem i w ten sposób nie może zmoczyć ubrania. Ubranie się zwija i rzuca na posłanie. Zewnętrzne ubranie Atikleury tak samo się oczyszcza i kładzie się obok tamtego ubrania na tapczanie. Atikleura jest w ubraniu spodniem. Rzuca się na łożo i siada tak daleko przy ścianie, że całe nogi leżą wyciągnięte na posłaniu. Teraz trzeba zdjąć buty, a to nie jest rzeczą łatwą, gdyż obuwanie Eskimosa składa się z pięciu różnych części. Zewnętrzną część stanowią małe niskie buciki ze skóry renifera z sierścią do wewnątrz. Na dolnej stronie podeszwy widać kilka dziwnych linii węzowatych, a przy bliższej obserwacji okazuje się, że są to szwy, zrobione w tym celu, aby podeszwy były mniej śliskimi. Potem idą kamiki ze skóry renifera. Tych Eskimos nosi dwie pary jedna na drugiej. Pierwsze są zrobione z części skóry przy kościach. Skóra ta ma sierść krótką i twardą. Obuwie to ma sierść zwróconą do środka i dosięga ko-

lan, gdzie związane jest rzemieniem. Pod temi kamiami nosi Eskimos drugą parę tej samej długości, tylko że w tej parze włos jest na zewnątrz. Ta para zrobiona jest ze skóry jednorocznego renifera, jest bardzo cienka i miękka. Między temi parami nosi Eskimos parę skarpetek ze skóry renifera z włosiem na zewnątrz i drugą taką parę nosi na gołych nogach, a z włosiem do środka. Jest więc pięć warstw jedna na drugiej. Gdy to widziałem po raz pierwszy, pomyślałem z dumą, że jesteśmy daleko lepiej zahartowani, niż Eskimosi, gdyż okrycie naszych nóg jest najwyższej potrójne.

Ale na pierwszej wyprawie saniami, zrozumiałem, że Eskimosi okrywają swoje nogi nie tylko dla ciepła, ale także z powodu twardości lodu i śniegu, po którym ciągle chodzą. Mając tylko potrójne okrycie nóg, doznawałem takiego bólu w nogach, że prosto poruszać się nie mogłem. Nareszcie zdjął Atikleura wszystkie części swego mokrego ubrania, włożył suche ubranie spodnie i zupełnie małe buciki ze skóry fok, które odpowiadają naszym pantoflom. Gdy skończył już z zewnętrzną stroną swego ciała, może pomyśleć o wewnętrznych jego potrzebach. A te potrzeby nie są małe, po tak ciężkiej, całodzienniej pracy. Przynoszą teraz wspaniałego łososia i cała rodzina raczy się nim do syta. Jest zamarznęty i zdaje się, że jest bardzo smaczny, w krótkim czasie z pięknej ryby pozostaje tylko szkielet. Garnek zawiera wspaniałą czystą wodę, gdyż sierść renifera, której w wodzie pełno nie jest podług Eskimosów zanieczyszczeniem wody. Niebawem garnek jest opróżniony, poczem znowu napełniony śniegiem i postawiony nad ogniem. Woda jest jedynym napojem, zna-

nym przez Eskimosów Nedzili, niema mowy o mieszkaniu go z jakimkolwiek innym trunkiem.

Całe towarzystwo głośno o tem opowiada, że niema już miejsca w ich żołądkach ani na łososia, ani na wodę i ucza jest skończona. Nadchodzi pora spania. Z wspaniałych skór przygotowuje Nalungja posłanie. Atikleura zamyka starannie wejście płytą śniegową. Potem wpełza pod wielką kołdrę rodzinną i pod kołdrą ściąga ubranie. W przeciwstawieniu do grenlandzkich Eskimosów ludzie ci — mężczyźni czy kobiety — nigdy nie rozbierają się do naga wobec obcych, chyba w ostateczności. Gościowi ofiarowuje się miejsce na skraju łoża. Mały Ani i Errera dawno już śpią, a miejsce, najbliższe ognia przeznaczone jest dla Nalungji, która rozbiera się po ciemku.

Następnego dnia jest jeszcze wiele rzeczy do zrobienia w chacie. Nie może wszystko być bez zarzutu, zważywszy szybkość, z jaką praca ta była dokonana, dlatego niejedno trzeba poprawić lub ulepszyć. Pierwszą myślą Nalungji jest okno. Domek śniegowy jest wprawdzie bez okna tak jasny, że w dzień doskonale w niem można pracować, ale gdy ma okno, mieszkanie jest o wiele jaśniejsze i miłsze. Można też wtedy z wewnątrz obserwować burze i wichury. Atikleura nie sprzeciwia się życzeniu żony. Schodzi na dół, gdzie lód leży i wyrąbuje wielką taflę w kształcie podłużnego okna, którą wstawia w ścianę nad drzwiami. Szyba naprawdę była bardzo ładna.

PRACE I ZABAWY W ZIMIE.

Czas mija i księżyc, odgrywający w życiu Eskimosów bardzo ważną rolę, zajmuje to miejsce na niebie, które wskazuje, że kobiety powinny zająć się szyciem. Jest to okres gorączkowej pracy. Skóry muszą być przypasowane, pokrajane i pozszywane. Można ubawić się, patrząc na Eskimoskę, krojącą futra na ubranie. Oczywiście nie ma ona kredy, aby narysować oddzielne części, ma na to mocne zęby. Formę, która ma być wycięta, oznacza, nadgryzając zębami skórę w odpowiednich miejscach. W ten sposób robią się małe dziurki, poczem Eskimoska zapomocą noża „olo” wycina poszczególne części. Często kobiety obywają się bez tego nadgryzania i krają odrazu, pewne że nie zawiedzie je dobre oko, wyszkolone przez długoletnie doświadczenie. Jeżeli kobieta szyje dla siebie, albo dla kogoś ze swojej rodziny, ścięgi w ubraniu są drobne, ładne, starannie wykonane. Jeżeli jednak robi na „obstalunek” dla białego, wtedy zszywa niesłychanie niedbale, robi wielkie ordynarne ścięgi, które nie wytrzymują dnia jednego. Jeżeli więc chcieliśmy mieć ubrania do użytku, musieliśmy kupować używane, ściągając je wprost z Eskimosów.

Wkońcu października ukazują się Eskimosi w nowych ubraniach. Takie ubranie prosto z igły bardzo ładnie wygląda. Noszą na sobie dwa anoraki, jeden włosami do środka, a drugi włosami nazewnątrz. Krój ubrania jest uderzająco podobny do naszego fraka — nie wiem doprawdy kto na kim się wzorował. Ubranie anorak sięga u Eskimosów Nedżili aż poza kolana, u innych szczepów często aż do pięt. Zewnętrzny anorak jest najczęściej zrobiony z grubsze-

go futra, niż wewnętrzny i wyszyty jest w piękne desenie. Oba wiszą na figurze swobodnie, tak iż powietrze ma dostęp do ciała. Noszą także dwie pary spodni: jedne z włosiem nawewnątrz, drugie nazewnątrz. Zewnętrzna para spodni często też bywa ozdobiona wyszyciem. Są związane w pasie, ale nad kolanami nie są zapięte.

Bardzo wesoło jest w Nedżili na Wielkanoc. Jakkolwiek Eskimosi nie mają pojęcia o naszym święcie Wielkiejnocy, ani o powodach, dla jakich je obchodzimy, w tym samym czasie właśnie urządzają święto zimy, które zupełnie odpowiada naszej Wielkiejnocy. W spiżarniach mają jeszcze duże zapasy mięsa i ryb i dnie wypełniają wyłącznie jedzeniem, piciem i różnymi zabawami. Wspólnymi siłami wznoszą wielką „Iglu”, t. j. chatę lodową, która jest miejscem zebrań i zabaw. Taka chata wygląda często jak pałac i może pomieścić pięćdziesiąt osób. Rozrywki są różnego rodzaju: popisy gimnastyczne, sztuki czarodziej-skie, śpiewy i tańce. Wiek nie stanowi przeszkody w ćwiczeniach gimnastycznych, nawet stary Kachkocnelli bierze w nich udział i gimnastykuje się nie gorzej od innych. Ponieważ nie mają narzędzi gimnastycznych, muszą posiłkować się tem, co jest pod ręką. Bardzo długi rzemień ze skóry fokki składają pięciokrotnie, a drugi taki rzemień owijają około pierwszego. W ten sposób otrzymują linę, która jest tak długa, że można jej zaufać. Lina ta musi być umocowana, co stanowi dużą trudność, gdyż ściany lodowe nie są dość mocne, aby mogły dać oparcie. Ale Eskimosi umieją sobie radzić. Przewiercają duże dziury w ścianach przeciwnych, przeprowadzają linę przez te otwory i przytwierdzają ją nazewnątrz do dwóch kijów, wbitych w śnieg. W ten spo-

sób mają doskonały elastyczny trapez i rozpoczynają na nim swoje sztuki. Zdziwiłem się ogromnie, gdy zobaczyłem wykonywane przez nich z wielką sprawnością różne ćwiczenia, które znam z czasów dzieciństwa. Przyszła mi nawet chęć odświeżyć dawne wspomnienia i pokazać Eskimosom, co ja potrafię. Nie miałem jednak szczęścia. Nic nie pomogło, że niefortunne swoje występy tłumaczyłem brakiem odpowiedniego trapezu i tem, że jestem nieprzyzwyczajony do ich liny, — wywołały one ogólną wesołość, nie tylko u Eskimosów, ale nawet u Katluny.

Do sztuk czarodziejskich nie jest im potrzebna wielka chata, mogą je pokazywać wszędzie. Zwykle sztuki te mają jakiś cel praktyczny, chodzi np. o zażegnanie choroby, albo o zapewnienie sobie dobrego połowu ryb i t. d. Pomimo dociekań, nie mogłem się dowiedzieć, jakie są obowiązki i przywileje czarodziejów, których jest kilka rodzajów. Byli więc wielcy czarodzieje, mali i zupełnie nieznaczeni. Alleingan był wielkim czarodziejem, nawet największym tego szczepu. Stary Prederik był także jednym z większych, ale nie tak wielkim jak Alleingan. Ale żadnemu z nas nie było wolno przyglądać się tym przedstawieniom czarodziejskim. Tylko dzięki przypadkowi udało mi się zobaczyć na czem te obrządki polegają. Chciałem wejść do chaty Uhu, aby omówić z nim pewną sprawę. Przed chatą stało kilku Eskimosów, którzy mnie zagadnęli. Domyśliłem się wprawdzie, że chodzi im o coś ważnego, ale dopiero później zrozumiałem, czego ode mnie chcieli. Już wchodząc, usłyszałem głośne zawodzenie, które wziąłem za śpiew — było ono wprawdzie głośniejsze niż to, do którego przywykłem, ale poszedłem mimo to naprzód. Gdy znalazłem się w wewnętrznym wejściu

do chaty, które było tak ciasne, iż musiałem pełznąć, zatrzymałem się na chwilę w pozycji leżącej, aby zobaczyć co się dzieje w środku. Wkrótce sprawa była dla mnie jasna: stary Prederik i jego żona byli zajęci czarami. Tapczan na którym siedzieli, pogrążony był w zupełnych ciemnościach. Przy blasku maleńkiego światełka mogłem zaledwie odróżnić sylwetki tych dwóch osób. Przyglądali im się Uhu i Umiktuali ze swemi rodzinami. Stali możliwie daleko od czarodziejów i patrzyli na nich z wielką powagą. Na szczęście nie zauważono mnie odrazu, mogłem więc obserwować ich przez chwilę. Stara krzyczała z całych sił, tak iż głużyła zupełnie głos starego Perderika, który w zwykłych warunkach mógł uchodzić za dobry i mocny. Nie wiem zresztą co działo się na tapczanie, a ruch, jaki zrobiłem, aby zbliżyć się nieco, zdradził moją obecność. Jednak nie okazałem zakłopotania, wstałem spokojnie i powiedziałem dzień dobry. Tego jednak nie należało czynić, gdyż stara dama zaczęła tak strasznie wrzeszczeć, że uciekłem czempredzej.

W kilka minut przyszedł do mnie Uhu i powiedział, że przedstawienie się skończyło, a stary Prederik wbił sobie dzidę w brzuch. Pomyślałem sobie, że widok taki nie jest ponętny, gdyż wyobrażałem sobie, że stary jest umierający. Na pytanie moje o jego zdrowie, Uhu odpowiedział zaproszeniem mnie do swojej chaty. Zobaczyłem siedzącego na tapczanie starego oszusta, który sobie podśpiewywał. Wygląd jego świadczył o dobrym zdrowiu. Żona jednak — zdaje się — trwała jeszcze w ekstazie, rzucała rękami na wszystkie strony i spoglądała na mnie ponuro.

Nie wspominałem zupełnie o mojej poprzedniej

bytności i zacząłem jakąś obojętną rozmowę, i niebawem wyszedłem. Później wieczorem przyszedł do mnie Prederik i pokazał mi dwie dziury w swoim anoraku, jedną na piersiach, a drugą na plecach — miały służyć jako niezawodne dowody, że przebił się dzida na wylot. Stary Prederik był porządnym, dobrym człowiekiem i jestem mocno przekonany, że sam wierzył w to, co mówił — możnaby się nie dziwić zresztą, że dzikie wrzaski, jakie wydawała jego żona mogły pozbawić go na czas jakiś rozumu. Nie można powiedzieć, aby Eskimosi żyli bez troski o przyszłość. Ich zapasy mięsa i ryb wystarczają do Wielkiejnocy, a czasem nawet na początku nowego roku nie są wyczerpane. Polowanie na fokę, według ich ustaw, nie powinno zaczynać się przed połową stycznia, a i wtedy niema ono wielkiego znaczenia, gdyż fokę, mająca bardzo subtelny słuch, słyszy zdaleka kroki myśliwych, gdy warstwa śniegu na lodzie jest cienka, i ucieka przed nimi. Dlatego okres czasu od połowy stycznia do końca lutego jest dla Eskimosa najcięższy do przetrwania.

Gdy w 1905 roku Eskimosi ukazali się pierwszy raz w zatoce Gjoa, niektórzy z nich od wielu dni poprostu głodowali. Nie mogliśmy im wiele pomóc, gdyż gdybyśmy jednemu coś dali, musielibyśmy żywić potem całą osadę, i dlatego musiałem utrzymać raz dany rozkaz, aby nie udzielać im nic z naszych zapasów.

W tych złych dniach zdarzył się jeden wypadek, dowodzący wielkiej nędzy i dlatego bardzo pouczający. Słyszeć jednak o nim przykro będzie ludziom wrażliwym. Tamoktuku był bardzo złym łowcą i dlatego zapasy jego wyczerpały się bardzo szybko. Gdy inni mieli choć niewiele do jedzenia, Tamoktuku nie miał już nic. Żona jego, trzydziestoletnia Paolaolu,

była bardzo miłą, pracowitą kobietą, która dbała bardzo o utrzymanie staranne swego gospodarstwa. Nic zrobić jednak nie mogła, gdy spiżarnia była zupełnie pusta. Miała troje dzieci, z których najmłodsze niedawno ujrzało światło dzienne. Dla tego maleństwa i dla siebie musiała postarać się o pożywienie. Psom dawaliśmy wtedy na zmianę suszone ryby i lój psi. Jednak lój ten psy trawiły z trudnością, co zauważyła Paolaolu. Gdy psy najadły się tego tłuszczu, biegła za nimi Paolaolu i czekała na odpowiedni moment — wygląda to wprost nieprawdopodobnie — ale jednak — gdy mróz oddziaływał odpowiednio na niestrawione przez psy pożywienie, Paolaolu podnosiła je i pożerała, dzieląc się ze swą rodziną. Zdarzały się jeszcze gorsze rzeczy, które już zupełnie opowiedzieć się nie dadzą. Pewnego wieczoru, gdy już rozpoczęły się polowania na fokę, zostałem zaproszony, aby przyjrzeć się zabawie „Kelandi”, najbardziej ze wszystkich lubianej przez Eskimosów. Odbywała się celem zjednania sobie wyższych sił dla pomyślnego polowu. Ogromna, cicha dolina zalana była cudownym księżycowym światłem, przy którym było tak widno, iż dostrzegało się najmniejszy drobiazg. W środku pomiędzy chatami stała chata dla zabaw. Wyższa była od innych, a jej okna lodowe były jasno oświetlone. Znaleźliśmy się na miejscu dość wcześnie, aby nic nie stracić z przedstawienia. Chata oświetlona wyglądała wewnątrz bardzo ładnie. W środku ustawione były wkoło złomy śniegowe. Było tam już kilku mężczyzn i ci starali się zabawiać nas rozmową. Mieli tego wieczoru najładniejsze i najpiękniej wyszyte ubranie ze skór reniferowych. Niektóre z nich tak pod względem wykonania, jak i dobrego smaku, odznaczyły się prawdzi-

wym artyzmem. Niedługo ukazali się inni goście: Anana, Kabloka, Alerpa, Alo-Alo i innych imion, nie trzeba też zapomnieć o Nalungjach, gdyż przynajmniej dziesięć kobiet nosiło to imię. Stara „Sowa” była ostatnią z liczby dwudziestu kobiet, które siedziały cicho i spokojnie na złomach lodowych, ustawionych w koło. Mężczyźni usiedli nawewnątrz koła, obok kobiet, jak komu było dogodniej i wkrótce byli już wszyscy w komplecie. W przeciwstawieniu do kobiet, mężczyźni byli bardzo zadowoleni, śmiali się i żartowali. Wyglądało tak, jakby tylko mężczyźni bawić się mieli.

Wreszcie ukazuje się mistrz ceremonii tego wieczoru. Jest nim Kachkochnelli, który ma na sobie lekkie ubranie ze skóry reniferowej, taką samą czapkę i rękawiczki. Przynosi ze sobą cenne Kelaudi, instrument muzyczny tego plemienia, składający się z koła drewnianego z rączką do trzymania i obciągniętego miękko wygarbowaną skórą renifera. Pałką do tego bębna jest mała kość, obciągnięta skórą fokii. Zabawa teraz się rozpoczyna. Najpierw do koła wchodzi Kachkochnelli, później Anana zaczyna wydawać jakieś dźwięki, które trzeba nazwać śpiewem, a inne kobiety jej wtórują. Czegoś równie monotonnego, jak ten śpiew nigdy w życiu nie słyszałem, śpiew chóralny robi jeszcze gorsze wrażenie. Ale jakiś rodzaj melodji musi być w tych czterech tonach, skoro kobiety potrafią śpiewać zgodnie razem. Równocześnie z rozpoczęciem śpiewu, Kachkochnelli zaczyna tańczyć i bić w bęben. Stojąc na jednym miejscu podnosi do góry to jedną nogę — to drugą i wygina się na wszystkie strony, wydając przytem głośne okrzyki. Uderza przytem mocno pałką w bęben, ale nie w środek, lecz w obręcz. W sumie wszyst-

kie te wysiłki tworzą ogłuszający hałas. Taniec Kachkochnelli staje się coraz powolniejszy i mniej więcej po dwudziestu minutach zupełnie ustaje. Śpiew kobiet, który stosuje się do ruchów tańczącego, zamiera razem z tańcem. Poczem do koła wchodzi inny mężczyzna i ten sam taniec, ten sam śpiew i wrzask powtarzają się bez najmniejszej zmiany.

Na czem polega przyjemność tego tańca, nie mogłem absolutnie zrozumieć. Całe towarzystwo robiło takie wrażenie, jakby się ogromnie nudziło przy tym śpiewie, który stanowiło kilka tonów, powtarzających się w nieskończoność. Zdaje się, że wszyscy byli zachwyceni, gdy okazało się, że żaden mężczyzna nie chce wejść do koła, i poznikali szybko z chaty. Całe przedstawienie trwało trzy godziny, i gdybym wiedział, że ciągle będzie się powtarzało jedno i to samo w koło, opuściłbym salę zabaw znacznie wcześniej. Tańce te odbywają się przez całą zimę. Nawet po wyczerpującym dniu połowu, po dziesięciu godzinach, pełnych wysiłków i trudu, spędzonych wśród burzy, na mrozie i lodzie, Eskimosi udają się prosto do sali zabaw. Dzieci, zwłaszcza małe dziewczynki, używają takich samych przyjemności. Ustawiają się w dwa rzędy naprzeciwko siebie, głowę wciągają między ramiona, pochyla ją, robią ruchy ciałem w różne strony i stojąc tak, twarz w twarz wyrzucają całą masę niezrozumiałych słów, zachowując przytem największą powagę. Albo też kucają na ziemi jedna przed drugą i podskakują, mrucząc coś bezustannie, również z wielką powagą. Jeżeli ta zabawa nie daje wielkiej przyjemności, stanowi przynajmniej dobre ćwiczenia ciała. Mają jeszcze innego rodzaju zabawy, ale zdaje się, że o te nie bardzo dbają.

POLOWANIE NA FOKI I NA BIAŁE NIEDŹWIEDZIE.

Jak już powiedziałem, polowanie na fokę rozpoczyna się właściwie w lutym i wtedy dopiero nabiera wielkiego znaczenia. Po dużych opadach śnieżnych, gdy śnieg dosięgnął już wysokości półtora metra, fokę nie może dosłyszeć kroków myśliwych na lodzie. Mija czas biedy dla Eskimosów, a puste spiżarnie zaczynają się napełniać na nowo. Polowanie na fokę, tak jak polowanie na renifery stanowi główne źródło utrzymania dla Eskimosów Nedżili, a ponieważ sposób, w jaki odbywa się to polowanie jest prawie zupełnie nieznanymi, chcę go opisać, opierając się na spostrzeżeniach, jakie zrobiłem wtedy, gdy sam brałem udział w polowaniach.

Jest mroźny, ostry ranek zimowy. Wieje silny wiatr północno-zachodni i zamieć śnieżna jest tak wielka, że wydaje się nam, jakbyśmy byli zanurzeni w worku pełnym mąki. Jest dopiero ósma rano, ale wszystkie chaty są już oświetlone i wszędzie widać ożywiony ruch. Wszystkie przygotowania mówią o wyprawie na fokę. Dla obcego jest rzeczą niepojętą dlaczego Eskimosi wyruszają na polowanie w tak okropną pogodę, tem bardziej, że dnia poprzedniego, gdy było cicho i słonecznie, siedzieli spokojnie w domu. Trudno jest czasem dociec, jakie są pobudki działania Eskimosów; postępuje on według swoich planów, jemu tylko znanych, ale zawsze ma cel jasno określony.

Nim wszyscy się zebrali, była już prawie dziewiąta. Eskimos wcale nie jest punktualny. Dzisiaj wyruszają wszyscy razem, choć zwykle dzielą się na mniejsze grupy. Kachkochnelli jest człowiekiem ładu i po-

rządki i wszystkie swoje rzeczy utrzymuje w dobrym stanie. To też, patrząc na niego, można wyrobić sobie najlepsze pojęcie o tem, jak wyglądać powinien myśliwy, który udaje się na polowanie na fokę. Przedewszystkiem uderza to, że ubranie swoje pozapinał szczelnie, tak, aby zimno nie mogło mu dokuczyć. Ubranie otwarte, które nosi zazwyczaj, byłoby na taki dzień za lekkie. Na plecach na jednym guziku wisi jego niezbędny nóż do krajania śniegu. Nóż ten do polowy ukryty jest w torbie myśliwskiej, przewieszanej przez ramię na rzemieniu ze skóry fokę. W tej torbie znajdują się liczne przybory do polowania, o których zastosowaniu powiem później. Wiele innych narzędzi Eskimosi noszą w ręku. W dawniejszych czasach, a nawet jeszcze przed kilku laty, wszystkie te narzędzia wyrabiane były wyłącznie z rogu renifera, teraz poszczególne części często zrobione są z żelaza.

Kachkochnelli prowadzi swego psa na rzemieniu z fokę. Jednak nie wszyscy posiadają psy. Tego dnia zebrało się około czterdziestu mężczyzn w wieku od lat 15 do 50. Mają bardzo wiele rzeczy do omówienia. Możliwe z tego sądzić, iż żyją w świecie, pełnym doniosłych zdarzeń, które dostarczają coraz to innych tematów do rozmowy, nie zaś w pustyni lodowej, gdzie życie płynie monotonicznie i bez zmian nie tylko w ciągu lat, ale całych stuleci. Idą wszyscy razem, dopóki nie dojdą do lodu, tutaj rozdzielają się i tworzą regularne linie łowieckie. Odległość między nimi powiększa się, im dalej brną naprzód, tak iż wkrótce nie mogą się wzajemnie dostrzegać. Kachkochnelli idzie szybko naprzód, podśpiewując i gwarząc ze swoim psem. W psie tym niema nic osobliwego, nie ma pięknego łba, ani mądrych oczu. Kun-

del byłby dla niego nazwą właściwszą. Ale nie można psa sądzić po jego wyglądzie, który jest tak niepozorny — wątpię jednak czy Kachkocnnelli wymieniłby go na psa najpiękniejszej rasy. Ma on bowiem właściwość, która w tych okolicach jest bezcenna: węch jego wskazuje nieomylnie, gdzie ukrywa się foka. I teraz biegnie nagle w bok, zatrzymuje się, starannie przeszukuje śnieg w jednym miejscu, po czym kładzie się spokojnie, pozostawiając dalsze poszukiwania swemu panu, który zapomocą długiego kijka szuka otworu w lodzie.

Pierwsze próby dają już dobry wynik, więc zrzuca on szybko torbę myśliwską przez głowę na ziemię, zdejmując nóż, który wisiał na guziku i nożem tym odrzuca śnieg, pokrywający otwór w lodzie. Tę czynność jednak poprzedza gruntowne poszukiwanie, gdyż foka ma dużo takich otworów, które doprowadzają jej powietrze.

Aby się przekonać, czy otwór odkryty służy do codziennego użytku foki, a nie jest jakimś otworem dawnym, z którego foka już nie korzysta, kładzie się Kachkocnnelli na śniegu i obwąchuje otwór, czuły węch nie może go omylić. Dzisiaj los mu soryzia, gdyż trafił odrazu na taki otwór, przez który istotnie foka stale czervie powietrze. Głośnemi okrzykami Kachkocnnelli daje znać towarzyszom, że jest na tropie. Takie okrzyki nie mogą słoszyć foki, natomiast z nadzwyczajną ostrożnością porusza się Kachkocnnelli, gdyż nie tak łatwo foka chwytą słuchem odgłosy kroków na lodzie. Otwory, które pies robi sobie są na powierzchni śniegu zaledwie tak duże, aby przez nie foka mogła wysunąć pysk dla zaczerpnięcia powietrza. Rozszerzają się jednak ku dołowi i największe są tuż nad powierzchnią lodu. Przedewszystkiem

Kachkocnnelli zatyka otwór śniegiem, tak aby nie obudzić podejrzania foki, gdyby ta zjawiła się w cza-



się przygotowań. Zapomocą noża myśliwy odrzuca część pokładu śniegowego nad otworem, a później łyżką odkopuje śnieg aż do otworu, a przytem odgrzebany śnieg rzuca na bok. Gdy w ten sposób oto-

rował sobie drogę do otworu, wkłada weń kij, przeznaczony do badania otworu. Gdy otwór zbadany jest należycie, wstawia w ten otwór jedną ręką kij do sondowania, a drugą zgarnia dokoła niego śnieg, którym wypełnia otwór aż do powierzchni lodu. Gdy później kij ten ostrożnie wyjmie, to w śniegu pozostaje otwór niewielki, ale dość duży, aby przez niego można było fokę obserwować. Jeżeli zima jest wczesna i powłoka śnieżna zbyt grubo nie przykrywa lodu, Eskimos tylko zapomocą słuchu i wzroku pozna z łatwością, że foka się zbliża. Gdy wszakże, jak teraz śnieg leży wysoko, musi on pomóc sobie przyrzędami, które świadczą o dużej roztropności Eskimosa. Z dwóch narzędzi, używanych do tego celu, Eskimos woli używać „illa”, który w sposób pewny i niewątpliwy daje znać o obecności foki pod lodem. Illa składa się z dwóch bardzo cienkich ostrzy z kości renifera, które są związane cienkim sznurkiem. Jedno z nich ma 20 cm. długości, drugie 15 cm. i to ma na końcu przymocowaną małą, cienką okrągłą blaszkę niklową. W obu ostrzach znajdują się otwory, przez które jest przeciągnięty sznurek, długości 25 cm. Posiłkowanie się illą na miejscu oznaczonym jest bardzo proste: mniejsze ostrze wbija się w śnieg, a większe wrzuca się w otwór. W ten sposób przyrząd ten łączy się bezpośrednio z wodą, a sznurek, którym oba ostrza są związane, leży swobodnie na śniegu.

Podczas tych przygotowań, Kachkochnelli kładzie pod nogi torbę myśliwską, aby chroniła go od zimna i tłumiła odgłos jego kroków. Gdy „illa” jest już założona, kładzie blisko harpun specjalny do zabijania fok. Drzewce ma mniej więcej metr długości i zrobione jest z rogu i żelaza. Kończy się ostrzem, wbi-

tem w drzewce — bywa ono wyrabiane wyłącznie z żelaza, albo z miedzi. Tylko jego koniec nie wyo-



strzony, oby dziura w skórze była jak najmniejsza. Poniżej ostrza znajdują się dwa skrzydła, zgięte do środka, które nie dają zsunąć się zwierzęciu z harpunu. W chwili, gdy ostrze wbija się w fokę, odrywa się

od drzewca, a łowca całą swą siłę przenieść musi na linę, która przeciągnięta jest przez otwór, znajdujący się w środku harpunu. Ta lina zrobiona jest ze ścięgien renifera, ma 4 metry długości i jest bardzo mocna.

Gdy już dzida jest przygotowana, kładzie ją łowca na dwóch drewnianych słupkach, które uprzednio wbił w śnieg i czeka, gotowy do ataku: zgina nieco kolano, pochyla się naprzód i bacznie patrzy w otwór.

Wszystko dziś składa się jak najlepiej. Poruszenie illi oznacza zbliżanie się foki. Kawałek ruchomego lodu, na którym illa leży, podnosi się i opuszcza. Eskimos wyprostowuje się: prawą ręką chwyta za ostrze, w lewej trzyma linę i wyężając wszystkie siły, gotuje się do ataku.

W chwili gdy pies wysuwa swój pysk przez otwór i ruchomy kawałek lodu odpycha na bok, illa obsuwa się, spada, a sznur wypręża się. To jest znak pewny! Eskimos uderza z całych sił. Z niezachwianą pewnością obsuwa się dzida przez małą dziurę i trafia na otwór w lodzie. Trafil! Z błyskawiczną szybkością jedną ręką chwyta dzidę i wbija ją w śnieg obok siebie, podczas, gdy w drugiej trzyma zwiniętą linę. Foka ucieka z liną tak daleko, jak pozwala jej na to długość liny, ale gdy jest pod wodą, wkrótce braknie jej powietrza i wtedy opuszczają ją siły. W tym momencie Eskimos kładzie na ziemi pętlę i staje na niej, aby mieć wolne obie ręce. Teraz wyrąbuje otwór w lodzie, aby mógł przeciągnąć przezeń fokę, poczem ciągnie linę. Jeżeli foka jeszcze żyje, wówczas Eskimos uderza ją dzidą w oko i wbija ją w mózg. Wtedy walka jest skończona. Eskimos w górnej war-

dze zwierzęcia i w zuchwie robi duże dziury i przewleka przez nie rzemień, zapomocą którego wyciąga



psa na powierzchnię lodu. Harpun wyimuje z ciała foki i polowanie jest skończone. Tymczasem nadbiegają jego towarzysze i pomagają mu fokę wyciągnąć,

jeżeli szczęśliwy łowca sam nie mógł sobie dać rady. Nożem robi on niewielki otwór w brzuchu zwierzęcia i wyjmuje wątrobę i nerki. Obecni z największym zadowoleniem spożywają te przysmaki, zagryzając słoninę. W dniu tak mroźnym, jak ten, w którym odbywa się polowanie, wystarczy włożyć w otwartą ranę lód, zmieszany ze śniegiem, aby zatamować krew. Jest to najlepszy sposób zatkania rany. Na wiosnę, gdy temperatura jest wyższa, ranę zatykają dwoma kawałkami rogu renifera. Po spożyciu smacznego jada, Eskimosi zaprzęgają psy do sanek zapomocą rzemieni i ze zdobyczą swoją zabierają się do powrotu.

W drodze powrotnej spotykają na wzgórzu lodowem białego niedźwiedzia. Wiatr dmie w kierunku przeciwnym i dlatego psy nie wyczuły zbliżania się zwierzęcia, tak iż ukazał się Eskimosom niespodziewanie. Wszystkie psy rzucają się teraz na niedźwiedzia i rozpoczyna się walka. Niedźwiedź staje na dwóch łapach, to znów opuszcza się na cztery. Wali naokoło siebie i kłapie zębami, ale psy są zbyt ruchliwe, to też rzadko kiedy uda mu się trafić w którego z nich. Spełniają one dobrze swój obowiązek i zatrzymują zwierzę, dopóki nie nadbiegną Eskimosi uzbrojeni w dzidy. Teraz walka zmienia swój charakter. Trzeba wielkiej odwagi, aby zbliżyć się do zwierzęcia, a z licznych blizn na twarzach Eskimosów widać, że w walkach takich często bywają ranni. Umiktuali zadaje wreszcie zwierzęciu cios śmiertelny i powala je na ziemię. Mięso dzielą łowcy między siebie, ale futro staje się wyłączną własnością Umiktuali.

Po powrocie do domu, Eskimosi zdobycz swą oddają kobietom. Foka nie jest duża, zabierają ją więc do namiotu i tu obciągają ze skóry. Nujakka jest ko-

biętą dzielną, to też szybko i sprawnie potrafi fokę ze skóry obciągnąć i rozebrać ją na części. Słoninę i mięso rozdziela równo między wszystkich. Nie wyrzuca absolutnie nic. Skórę i wnętrzności dostaje ten, kto zwierzę powalił. Jelita stanowią największy przysmak dla Eskimosów, wypróżniają je, poczem wstawiają do garnka, aby się ogrzały. O właściwym gotowaniu niema mowy. Jest to czas wypoczynku w domu, Kachkocnelli leży na tapczanie, wyciąga się wygodnie, podśpiewując i gwarząc. Lubi tak wypoczywać po wyczerpującem polowaniu na zimnie, podczas wichury.

Nujakke pilnuje strawy, grzejącej się w garnku, a Kallo i mały Nulieu tułają się do matki, patrząc jej błagalnie w oczy.

Ognia się nie oszczędza, gdyż w domu jest dużo tłuszczu. Blask ognia pada na kilka twarzy, które lakomie zaglądają do środka, ale Nujakke jest rozsądną gospodynią domu; wie, że gdyby obdzielić chciała wszystkich, którzy łakną kęska mięsa lub słoniny, nicby jej nie pozostało, udaje więc, że ludzi tych wcale nie dostrzega. Dla Kalla i Nulieu musi jednak ukrajać kawałek jelit.

Foki, które ukazują się w miejscach połowu szczepu Nedzili, należą do gatunku „snadd”, czyli małych fok. Są one bardzo tłuste i mięso ich jest delikatne. Duże foki nie zjawiają się z tego powodu, że woda w tych okolicach jest bardzo płytka. Za to w Ugluli zwierząt tych jest bardzo wiele. Podziw budzić musi fakt, że olbrzymie i silne te foki chwywane są w ten sam sposób co i małe „snadd”. Trudno wprost uwierzyć, że człowiek może na rzemieniu utrzymać taką

wielką fokę. To też czasem życie łowcy znajduje się w niebezpieczeństwie.

Tolimao, wielki i silny mężczyzna, wysokości 177 cm., najpierwszy między łowcami, wytropił ostatniej zimy zwierzę wyjątkowo duże i silne. Była to bardzo ciężka praca, ale Tolimao nie puszczał liny. Mocno zarył się nogami w śnieg i ciągnął linę z całych sił. Ale foka była silniejsza od niego, szarpnęła go i pociągnęła w otwór, który jest oczywiście większy niż otwór „snaddy”. Nieszczęśliwy człowiek wpadł tak, iż głowa i ramiona znalazły się w otworze. Pomimo to, nie dał on za wygraną i leżąc zatrzymał się nad otworem, dopóki nie nadbiegli towarzysze i nie dopomogli mu wydostać się. I nawet ta foka mu się nie wymknęła. Złowił ją! Początek wiosny, t. j. koniec marca jest okresem, w którym rodzą się młode foki. Aby rodzenie nie zaskoczyło samice w głębi czterech metrów pod lodem, naprzód już rozszerza ona jeden z wielu otworów, służących do czerpania powietrza. Wtedy zagrzebuje się powoli w śnieg nad lodem i ma w ten sposób najpiękniejszą chatkę, której podłogę stanowi lód, a śnieg sklepienie. Tutaj rodzi młodą fokę. Często zdarza się, iż matka z dzieckiem jest wytropiona przez psy. Jeżeli młode jest już dość duże, wówczas razem z matką rzuca się w wodę, jeśli jednak urodziło się niedawno, wpada w ręce Eskimosów.

Tak mija czas, nadchodzi lipiec i śnieg zaczyna topnieć na lodzie. Wtedy foka opuszcza wodę, wygrzewa się na słońcu i po dziewięćmiesięcznym pobycie w ciemnej głębi, cieszy się czystym niebem i jasnym dniem. W tym czasie Eskimosi chwytają foki całymi masami. Dostrzegają oni czarne punkty rozsypane wokół na lodzie i wiedzą, że to są właśnie foki.

Podpełzają więc do nich, co jest jednak dość trudne i wymaga ogromnej zręczności. Uzbrojeni są w dzidy, noże i łyżki.

Małą skórę fokową zarzucają na plecy i zbliżają się do czarnych punktów tak blisko, jak tylko to jest możliwe. Potem kładą się znowu na brzuchu i pełzną dalej. Foka na lodzie jest równie czujna, jak pod wodą i jeśli niema jakiegoś wzgórza lodowego, któreby zakryło Eskimosa, to ma on do spełnienia bardzo ciężkie zadanie.

Nie spuszczać z oczu foki, porusza się powoli naprzód. Jak tylko foka głowę podniesie, Eskimos się zatrzymuje, kładzie się na lodzie i leży, dopóki foka się nie uspokoi. Gdy jest już bardzo blisko, podkłada pod łokcie skórę fokową i na niej posuwa się naprzód, aby stłumić wszelki szmer. Jeżeli widzi, że zwierzę jest zaniepokojone, wtedy udaje fokę, pomrukuje i stuka nożem w lód w taki sam sposób, jak to czynią foki pletwami. I w ten sposób zbliża się do zwierzęcia. Jeśli uda mu się podejść na odległość rzutu, nie będąc dostrzeżonym przez fokę, wtedy wyprostowuje się nagle i ciska w zwierzę dzidę ruchem śmiałym i pewnym. Jest to oczywiście chwila krytyczna, w której wielokrotnie foki uciekają przed myśliwymi, często jednak stają się ich łupem. Nasi łowcy norwescy umieją dużo opowiadać o tych trudnościach polowania na foki w lecie. Często polowanie takie trwa kilka dni, Eskimos bierze wtedy z sobą zapasy jedzenia; i śpi i pożywia się na lodzie. Cóż to za niestrudzeni ludzie ci Eskimosi!

Minał już lipiec, niebo jest błękitne, a słońce rzuca ciepłe promienie. Wszędzie widać mnóstwo ptaków, a całe wzgórza pokryte są kwitnącymi kwiatami.

W Nedzili Eskimosi rozbijają namioty, a kajaki gotowe już są do obciążenia.

SWIAT DUCHOWY ESKIMOSA.

Eskimosi dzielą rok na pewne części i podziału tego trzymają się bardzo ściśle.

Gdy Eskimosowi wypadnie liczyć na lata, czyli jak on mówi, na wiosny i zimy, myli się bardzo często, a obliczenia jego bywają bardzo dziwaczne. Kachkochnelli chciał nam kiedyś powiedzieć, ile lat ma jego córka Aleopa. Liczył z wielkim trudem na palcach, co raz to odginając palec wskazujący, to znowu wielki palec. Był przytem bardzo skupiony i poważny. Wreszcie skończył swe obliczenia i powiedział, że Aleopa, zupełnie dorosła kobieta — ma siedem lat! Ale poszczególne miesiące roku potrafią wymienić zupełnie dokładnie. Gdy umawialiśmy się, że chcemy z nimi się spotkać za tyle a tyle miesięcy, zawsze zjawiali się w porę. Podług danych Uhu, dzielą Eskimosi rok na trzynaście miesięcy i nazywają je tak:

1. Kapidra. Styczeń, znaczy: zimno jest, Eskimos marznie.
2. Hikernaun. Luty: słońce powraca.
3. Ikiaparni. Marzec: słońce wzbija się wysoko.
4. Aroniri. Kwiecień: foka rodzi młode.
5. Neczalerwi. Maj: małe foki idą do wody.
6. Kawaruwi. Czerwiec: małe foki zmieniają sierść.
7. Noerni. Lipiec: renifer rodzi młode.
8. Itchjawi 1-y. Lipiec 2-gi: ptaki siedzą na jajkach.
9. Itchjawi 2-gi. Sierpień: ptaki wykluwają się.

10. Ameraioni 1-y. Wrzesień: renifery ciągną na południe.
11. Ameraioni 2-gi. Październik: renifery ciągną na południe.
12. Akkaaiarwi. Listopad: Eskimosi robią zapasy.
13. Hikkernillun. Grudzień: słońce znika.

Ten podział na miesiące niewiele różni się od naszego. Pory roku oznacza się według zamarzania wody i topnienia lodu i śniegu.

Opingan — wiosna: (czerwiec i lipiec) gdy śnieg znika na lodzie, a na morzu ukazuje się kra.

Aora — lato: gdy niema lodu (sierpień i wrzesień).

Okeo — zima: pozostałe osiem miesięcy.

Mają więc Eskimosi trzy pory roku, jesień jest tak krótka, że nie liczą jej wcale.

Dzień dzielą w następujący sposób:

Obla — rano.

Onon — wieczór.

Onoa — noc.

Jak dobrze orjentują się ci ludzie w podziale czasu, obejmującego jeden rok, dowodzi to, że Talurnakto 25 marca 1905 roku powiedział, że upłynął właśnie rok, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. I rzeczywiście dniem naszego spotkania był 18-y marzec 1904 roku. Nie jest to złe obliczenie, zważywszy, że Eskimosi nie mają kalendarza.

O pojęciach religijnych Eskimosów nie będę się rozwodził. Wiadomości, dotyczące religii, pozostawiły wiele kwestji niewyjaśnionych, a przytem trudno było powiązać je w jakąś całość, gdyż fantazja Eskimosów grała tu dużą rolę. Jeśli wierzyli w jakąś istotę wyższą, potrafili to dobrze ukryć. W każdym razie życie pozagrobowe jest dla nich rzeczą

pewną. Dobrzy ludzie po śmierci dostają się na księżyc, źli straceni zostają na ziemię. Gwiazdy przeznaczone są dla tych, którzy nie byli ani źli, ani dobrzy. Zjawiska przyrody, jak światło polarne, spadanie gwiazd, błyskawice, pioruny, tęcza i t. d. nie budziły w nich żadnego zainteresowania.

Bezsprzecznie życie odczuwają bardzo radośnie. Ale z drugiej strony śmierci nie obawiają się zupełnie. Jeśli który z nich był chory, albo źle mu się działo, z największym spokojem żegnał się ze światem i popełniał samobójstwo przez uduszenie. Podczas naszego pobytu, zdarzyły się dwa takie wypadki.

W czasie podróży, którą odbyliśmy na Gjoa, zetknęliśmy się z dziesięcioma różnymi szczepami Eskimosów, mieliśmy więc sposobność porównać wpływ, jaki wywarła na nich cywilizacja i porównać tych, którzy do niej się zbliżyli z tymi, którzy jej wcale nie poznali. Jest moim najgłębszym przekonaniem, że ci ostatni są o wiele zdrowsi, szczęśliwsi i zdolniejsi do życia. Ucywilizowane narody, zbliżając się do Eskimosów, powinny uważać za swój obowiązek ochraniać ich zapomocą surowych praw i przepisów przed złemi i niebezpiecznymi wpływami tak zwanej cywilizacji. Jeśli tego obowiązku nie spełniają, Eskimosi zginąć muszą. Trzeba mieć całe uznanie dla królewsko-duńskiego handlu grenlandzkiego za sposób, w jaki odnosi się do swej grenlandzkiej kolonii. Miejmy nadzieję, że inne narody będą brały przykład z Duńczyków i zrozumieją odpowiedzialność, jaka na nich ciąży za ich postępowanie z temi dziełnemi dziećmi przyrody, żyjącemi pod biegunem północnym. Życząc jak najlepiej moim przyjaciółom ze

szczepu Nedżili, pragnąłbym, aby nigdy nie zbliżyli się do naszej cywilizacji.

NASZ PRZYJACIEL MANNI.

Po dwukrotnem przezimowaniu na ziemi Króla Williama, odpłynęliśmy w sierpniu w kierunku zachodnim.

Oddawna już było ułożone, że Talurnakko, najwierniejszy towarzysz w naszych podróżach saniami i w polowaniach, pojedzie z nami na zachód, a może nawet do naszego kraju. Talurnakko uważał się do pewnego stopnia za „kabluna“, t. j. białego człowieka, patrzył z góry na swoich współziomków i nie wdawał się w rozmowę z byle kim. Ale teraz gdy śnieg topniał i zbliżał się czas odjazdu, Talurnakko zastanawiał się i wahał. Wpadał często w ogromne przynębienie i godzinami całemi siedział bez ruchu, patrząc tępo przed siebie. W początku nie zwracałem na to uwagi. Ale, któregoś dnia, gdy siedząc obok mnie w kajucie, wybuchnął nagle głośnym płaczem, zrozumiałem, że należy poważnie odnieść się do jego stanu i zapytałem o przyczynę rozpacz. Po dłuższej chwili zdecydował się mówić. Nie ma odwagi pojechać do „Kabluna nuna“, t. j. do kraju ludzi białych, gdyż tam zabiją. Nic nie pomogły moje zapewnienia, że jesteśmy poprostu aniołami i tylko jego dobro mamy na względzie. Nie dał się przekonać i pokazał nam parę obrazków z wojny Burów. Wreszcie powiedziałem mu, że jeśli on sam nie ma chęci z nami iechać, nie chcę i nie mogę go do tego zmusić. To zapewnienie podziałało na niego tak dobrze, że odra-

zu się rozpozgodził i twarz jego rozjaśniała się dawnym miłym uśmiechem. Wyobraził sobie, że jesteśmy panami jego duszy i ciała — co więcej, że należy już do nas ze skórą i kośćmi.

Tak więc nie udało nam się zabrać go w żaden sposób z sobą na wyprawę. Ponieważ uważałem, że obecność Eskimosa może mieć dla nas pewne znaczenie, rozgłosiłem, że miejsce Talurnakko jest wolne. Wkrótce zjawił się gruby Tonnich, który mówił o swem namiętym pragnieniu poznania południowych krajów. Tonnich nie był człowiekiem, któryby mi odpowiadał, gdyż był ciężki, tłusty i powolny w ruchach. Przyjąłem go jednak, ponieważ nikt inny nie okazywał chęci opuszczenia swego kraju, a Tonnich odznaczał się dobrym humorem i zachowaniem bez zarzutu. Moment był uroczysty, gdy Tonnich, jako ósmy członek naszej ekspedycji, zajął miejsce na okręcie. Czekał na niego kubeł z wodą, szczotka i mydło. Nie mogło bowiem być mowy o tem, aby stał się „kabluna”, dopóki nie poddał się gruntownemu umyciu. Na pokładzie Wiik przygotował wszystko do mycia i sam do swych czynności zabrał się z wielką gorliwością. Obciął Tonnichowi włosy, uczesał go i posypał mu głowę proszkiem perskim. Później włożył na niego ubranie spodnie. Eskimos myślał, że jest to już ubranie kompletne, ale otrzymał jeszcze piękny prosty z igły garnitur z naszego krajowego materiału. Nikt chyba w życiu nie był bardziej dumny ze swego nowego ubrania, jak nasz Tonnich. Śmiał się z radości, gładził materiał i przyglądał się sobie nieustannie.

Wyjechaliśmy 13 sierpnia. Gdy nazajutrz rano, wyszedłem na pokład, spostrzegłem, że jesteśmy właśnie w zatoce Donglasa. Tonnich, który znał dosko-

nale całą okolicę, wymienił nam nazwy poszczególnych łańcuchów wzgórz. Odkrył też siedzibę naszych Eskimosów. Leżała ona na małym wzgórzu, wysokości jakichś 30-u metrów. Na horyzoncie rysowały się namioty. Ponieważ mgła była coraz gęstsza, a droga, którą mieliśmy przebyć wyglądała niebezpiecznie, skierowaliśmy się przeto ku wzgórz, które leżało przed nami. Brzeg był tu bardzo poszarpany, nie mogliśmy przeto dobić do lądu. Trzeba było rzucić kotwicę w dość dużej odległości od ziemi. Mgła zakrywała nasz okręt, ażeby więc zwrócić na nas uwagę Eskimosów, zaczęliśmy dawać sygnały syreną okrętową.

Po krótkim czasie dostrzeżliśmy kajak, wynurzający się z mgły. Do uszu naszych dobiegło wesołe pozdrowienie: Manik—tu—mi! Ukazał się Nulieu, a za nim wielu innych. Wszyscy ogromnie cieszyli się z tego, że nas widzą. Sund i ja wsiedliśmy do kajaków, aby dopłynąć do lądu. Mgła nie przeszkadzała Eskimosom. Śmiechem odpowiedzieli na zapytanie, czy nie zabłądzą i pośpiesznie ruszyli ku lądowi. Istotnie, jakkolwiek musieli wiosłować trzy kwadranse, trafili odrazu do przystani. Doprawdy, można by przypuszczać, że obdarzeni są jakimś szóstym zmysłem, skoro bez jednego promienia słońca i przy absolutnej ciszy w powietrzu, mogli z taką pewnością posuwać się naprzód. Na lądzie mgła była rzadsza. Na wierzchołku półwyspy rozłożyli się nasi przyjaciele w siedmiu namiotach i żyli tu jak w podbiegunowym raj. W zatokach, na dole mogli mieć tyle ryb, ile chcieli, a wszędzie wkoło na wielkich płaszczynach pasły się całe stada reniferów. Polowania udały im się, to też byli dobrze zaopatrzeni w mięswo. Dali nam tyle mięsa i suszonego łososia,

ile tylko mogliśmy zabrać. Pożegnaliśmy ich serdecznie, myśląc, że może dużo wody upłynie, nim zobaczymy się znowu.

Przed namiotem Umiktuali stał jego wychowanek Maniratcha, albo Manni, którego tak przez skrócenie nazwałem. Miał krótkie spodnie ze skóry fok i wyszarzaną starą kurtę, którą za coś wymienił sobie na okręcie. Wyglądał tak, jakby zapomniał się umyć — co zresztą przytrafić się może każdemu. Przed paru miesiącami pytał się, czy nie moglibyśmy zabrać go z sobą do kraju białych ludzi. Uważałem, że prośba jego jest tylko wyrazem odwagi i nie przywiązywałem do niej żadnego znaczenia. Ale teraz okazało się, że jest inaczej. Manni dowiedział się, że Tonnich jest u nas na statku, a więc że miejsce jest zajęte. I stał teraz przed namiotem, łkając rozpaczliwie. Podszedłem do niego i zapytałem go, czy istotnie tak gorąco pragnie odbyć tę podróż z nami. Z oczu jego popłynęły strumienie łez, gdy zapewniał mnie, że jest to jedynym pragnieniem jego życia. Było mi go serdecznie żal. Wstydiłem się przytem, że słowo złamałem i złościłem się równocześnie, gdyż o wiele chętniej zabrałbym z sobą Manni, niż Tonnicha. Manni był młodym, żywym chłopakiem, mającym nie więcej niż dziewiętnaście lat. Byłem mocno zakłopotany i powiedziałem mu, aby tymczasem zabrał się ze mną na statek, a potem zobacze, co będę mógł zrobić dla niego.

O siódmej rano zaczęła się mgła przerzedzać, uważałem więc, że należy już powrócić na statek, aby móż odjechać, jak tylko niebo zupełnie się wypogodzi. Wzięliśmy do łódki trzydzieści sześć udźców reniferowych i całą masę wędzonych łososi. Uhu Manni i jeszcze dwóch Eskimosów pojechało z nami.

poza tem towarzyszyło nam jeszcze czterech innych, każdy w swoim kajaku. Około ósmej byliśmy na statku. Obliczyłem się z Eskimosami, płacąc im amunicją za mięso i ryby. Na statku naradziliśmy się z towarzyszami, co robić z Manni. Wszyscy zgodziliśmy się na to, że Manni byłby towarzyszem dużo więcej pożądanym, niż Tonnich, który przez czas pobytu na statku zasłużył sobie tylko na miano żarłoka. Gdy ten podszedł do mnie, zapytałem go: „Cóż, drogi mój Tonnichu, czy chcesz koniecznie jechać z nami do kraju białych?”

Na to odpowiedział mi natychmiast z rozbrajającą szczerością, że nie ma już najmniejszej ochoty do tej podróży. Ludzi tych rzeczywiście trudno było zrozumieć. Przed trzema dniami gorąco pragnął tej podróży i teraz gdy życie na statku upływało mu lekko, jak ptakowi w konopiach, ochota do podróży gdzieś zniknęła. Przyjąłem tę niespodziewaną wiadomość z zupełnym spokojem, gdyż teraz mogłem załatwić sprawę z Manni. Jednak znalazła się jeszcze przeszkoda, bo słowo ostatnie miał opiekun Manni Umiktuali, który musiał dać pozwolenie na wyjazd sweo wychowanka. A tego pozwolenia nie uzyskałem za darmo. Przybył na statek i zażądał za chłopca zapłaty. Pilnik i stary nóż zaspokoili jego wymagania — zbyt wygórowaną więc nie była cena za wychowanka.

Ristedt, który miał prowadzić statek w dalszej podróży, otrzymał rozkaz zrobienia z Manni „Kabluna”. Wielka ilość mydła i proszku perskiego, jakie przytem zużył, dawały rękojmię, że Manni jest dobrze wymyty i włosy ma w porządku. Nie mogliśmy się

zdobyć na to, aby go pozbawić jego pięknych, długich włosów, tylko Ristedt wyczesał go tak porzą-



dnie, że nie zauważyliśmy już wszy na jego głowie. Ubranie jego wyglądało nieco fantazyjnie: niebieska trykotowa kurtka, spodnie ze skóry fok, białe poń-

czochoy, stare lakierowane pantofle porucznika, a na głowie stara blado-niebieska czapka kąpielowa, którą ongiś kupiłem w jakimś miejscu kąpielowym.

Od pierwszej chwili Manni zdobył nasze serca miły jego uśmiech przepędzał troski i smutki, a i jemu nowe życie u nas bardzo się podobało. Przebywał on według pojęć Eskimosów poprostu w raj, to jest w miejscu, w którym mógł się najeść do woli. Obawiałem się nawet, czy ta zmiana życia nie odbije się źle na Manni, ale obawy moje okazały się płonne.

Na początku września znaleźliśmy się w pobliżu ujścia Mackensie i wylądowaliśmy na przylądku King Point, gdzie znajdowała się osada Eskimosów. W tym czasie Manni zapoznał się już zupełnie dobrze z życiem na okręcie. Ubierał się zupełnie jak Kabluna, a że był doskonałym myśliwym, podarowałem mu karabin i dubeltówkę, z czego był bardzo dumny. Z bronią nauczył się obchodzić doskonale. Spytałem go, czy nie wolałby odejść od nas i powrócić na ląd, ale odpowiedział z całą stanowczością, że nie.

Gdy staliśmy na kotwicy przy przylądku King Point, woda zamarzała i niespodziewanie zostaliśmy uwięzieni w lodzie. Zdarzało się często, że lód jeszcze topniał w początkach października, ale tym razem każdej nocy stawał się grubszy o kilka cali i musieliśmy się przygotować na spędzenie trzeciej zimy w tym kraju. Wszyscy, nie wyłączając Manni, mieliśmy dużo pracy. Piłował on i rąbał drzewo na opał, czego nauczył się w krótkim czasie. Poza tem jego obowiązkiem było utrzymywanie porządku w kajucie, co polegało na tem, że co rano wymiatał śmieci.

Poza tem stał się uczniem porucznika Hausena, uczył się czytać i poznawać godziny na zegarze. Nie wykazywał dużych zdolności, ale nauczył się dość szybko pisać swoje imię i umiał powiedzieć, która jest godzina, zawsze jednak z różnicą jakichś pięciu minut.

Szybciej poszło z nauczeniem się gry w warcaby, której tajemnicę tak dobrze zgłębił, że często pobijał swego pana i nauczyciela. Często siedziałem w kajucie i czytałem książkę, podczas gdy oni grali. W miły sposób odczuwałem obecność graczy, słysząc ich ciche i rozsądne uwagi. Gdy Manni wygrywał, to wpadał w taki szal radości i wydawał takie głośne okrzyki, że rozkoszowanie się literaturą przez jakiś czas było zupełnie niemożliwe. Był to nadzwyczaj miły i dzielny chłopak. Zawsze pogodny, pełen dobroci, wzbudzał duże zaufanie. Największą przyjemnością było dlań polowanie, tak że prawie ciągle uganiał się za zwierzyną. Ponieważ towarzyszył na polowaniu Ristedtowi i Hansenowi, upominałem go, aby przestał żuć tabakę. Żucie tabaki było dla mnie zawsze wstrętne, młody chłopak powinien strzedz się tego nałogu. Ristedt i Hansen żuli tytoń, tak jak kto inny zjada bułkę z masłem, zwłaszcza gdy byli na polowaniu. Próbowali Manni skusić, nie chciał on jednak wziąć do ust tytoniu. Pozwoliłem mu palić, ostrzegając jednocześnie, że nadmierne palenie może być szkodliwe. Usłuchał mnie i był bardzo wstrzeźliwym palaczem. Ponieważ łatwo się zaziębiał — musiał, pomimo, iż się temu sprzeciwiał, kilkanaście dni przeleżeć w łóżku — obawiałem się o niego i kazałem mu zmieniać ubranie po powrocie z każdej wycieczki. Ristedt mówił mi, że Manni po każdym powrocie do domu, przebiera się od stóp do głów.

Przez pół roku porucznik uczył pilnie Manni, wykazując wielką cierpliwość, którą podziwiałem. Jeszcze dziś zdaje mi się, że słyszę ich obu sylabizujących: a—b razem ab, b—a ba, ab—ba: abba.

Po półrocznej pilnej pracy byli ciągle przy tem „abba” i jeszcze dziś Manni jąka się, gdy wymawia to trudne słowo. W ostatnich czasach zresztą zrobiłem różne spostrzeżenia, które naprowadziły mnie na myśl, że chłopak ma chęć pozostania u Eskimosów.

Przykro było mi myśleć o rozstaniu się z nim, jednak wbrew jego woli, nie chciałem go zabierać z sobą. Zapytałem go więc pewnego dnia, czy nie chciałby przejść do Eskimosów, na co Manni odpowiedział mi twierdząco. Nazajutrz udałem się do jednego Eskimosa, imieniem Manitchja, wyjątkowo porządnego i dzielnego człowieka i zapytałem go, czy nie chciałby wziąć Manni. Manitchja przyjął tę propozycję z wielką radością, miał bowiem tylko jedną córkę i powiększenie rodziny o takiego chłopca, jak Manni było dla niego wysoce pożądane. Tego samego dnia Manni opuścił Gjoa w swoim ubraniu, dobrze zaopatrzony w zapalki, mydło, broń i amunicję. Skakał i tańczył z radości, mnie jednak było bardzo przykro. Teraz zaczęło się dla Manni życie zgoła inne. Pracował ciężko od rana do nocy, a wieczorem, gdy zgłodzony wracał do domu, często nie miał co jeść. Przedewszystkiem nowi jego rodzice obcięli mu wspaniałe włosy i wygląd jego potem był prosto żałosny. Następnego dnia wyruszył z nimi ku zachodowi, na polowanie na foki. Po trzech tygodniach powrócili i Manni przyszedł nas odwiedzić, przynosząc nam kilkanaście upolowanych przez siebie ptaków. Był bardzo wychudzony, a jego wesole dawniej oczy były teraz pełne smutku. Miał przytem

wprost niewiarogodny apetyt, połknął wszystko, coś przed nim położyli. Gdy przestał jeść, żegnał się z każdym z nas z osobna. Zgadłem, jakie było jego życzenie, ale chciałem, aby sam wyjawiał swą prośbę. W dwa tygodnie potem znowu zjawił się na statku, przynosząc i tym razem dużo ptaków. Wyglądał teraz bardzo marnie. Policzki mu zapadły, wychudł i zmizerniał. Zapytałem go: „Chciałbyś powrócić do nas, na statek?”

Nigdy nie zapomnę promiennego uśmiechu i oznak dziękczynienia, jakimi odpowiedział na moją propozycję. Tak więc zagubiona owca powróciła do stada. Wszyscy na statku lubili bardzo Manni, zapanaowała więc radość z powodu jego powrotu.

Manitchja naturalnie zdziwił się, że Manni ma znowu być „kabluna”, ale nie czynił żadnych trudności. Mieliśmy więc Manni między sobą, ale już tylko na kilka tygodni. Wszystko bowiem skończyło się smutnie. W połowie sierpnia ku wielkiej naszej radości, łód zaczął tajać, więc ruszyliśmy dalej, dojechaliśmy jednak tylko do wyspy Herszela. Tutaj bowiem przekonaliśmy się, że wody, w których płynęliśmy były tylko zatoką w lodzie, ślepa ulicą bez wyjścia. Pełni nadziei czekaliśmy z dnia na dzień. Dwudziestego sierpnia zaczął dąć wiatr północno-wschodni, który zdaniem łowców wielorybów, polujących w tych okolicach, powodował szybkie topnienie lodu. Wkrótce wiatr ten wzmógł się bardzo. Ale człowiek, który udał się na zwiady, powrócił z wiadomością, że łód jest jeszcze grubszy, niż był poprzednio. Dwudziestego pierwszego wsiedliśmy na łódź z Ristedtem i Sundem i pojechaliśmy na ląd, aby zobaczyć, czy pod wpływem wiatru, łód nie zaczął tajać.

W drodze spotkaliśmy Manni, który wyjechał ra-

no na żaglowcu, aby polować na dzikie kaczki. Jeszcze nie upolował ani jednej — zawołałem na niego, ale już nie pamiętam, co mu powiedziałem. W przystani wciągnęliśmy łódkę na brzeg i weszliśmy na wzgórze, które było naszym punktem obserwacyjnym. Wynik naszych obserwacji był pomyślny, łód zaczął tajać. Gdy wsiedliśmy na łódź i zbliżyliśmy się do okrętu, Sund odezwał się nagle:

— Zdaje się, że wywiesili banderę na okręciel

— Co mogło się stać?

— Ale bandera jest do połowy opuszczona.

Spojrzałem przez lornetkę, rzeczywiście na Gjoa powiewała na maszcie bandera. Widok ten zrobił na mnie niesłychanie przykre wrażenie. Pocieszaliśmy się myślą, że może umarł który ze znajomych Eskimosów na ładzie. Jednak naprawdę nikt z nas w to nie wierzył. Ja zaraz pomyślałem o Manni i zdaje mi się, że moi towarzysze także. Zbiegliśmy szybko ze wzgórze i pozostawiając łódź u brzozy, pobiegliśmy drogą, która prowadziła prosto do okrętu. Spostrzegli nas odrazu i spuścili na wodę łódź, która nas podwiozła do okrętu.

Niestety, wywieszona bandera oznaczała śmierć Manni, który utonął. Gdy znaleźliśmy się na okręcie, opowiedział nam porucznik tę smutną historję. Rozmawiał właśnie na pokładzie, gdy zobaczył Manni, który stał na łodzi i rozglądał się za kaczkami. Widywano go, polującego w ten sposób, to też nie zwracano na niego żadnej uwagi. Gdy spojrzeli po chwili w tę stronę, łódź była już pusta, a obok niej burzyła się woda. Manni wpadł do wody. Z błyskawiczną szybkością Hansen i jeden Eskimos spuścili łódkę na morze, podczas gdy porucznik pośpiesznie wdrapał się na maszt, aby z góry kierować ich ruchami.

W niespełna pięć minut łódź znalazła się na tem miejscu, gdzie przed chwilą burzyła się woda. Manni jednak znikł bez śladu. Łódź żaglowa była pełna wody, ale stała prosto. Wiosła pływały w pobliżu, ale nigdzie widać nie było chłopca, ani jego broni.

Gdy Manni stał i wypatrywał kaczki, musiała silna fala uderzyć o łódkę i wtedy biedak wpadł do wody. Ani razu nie wypłynął na powierzchnię. Wypadek ten wykazał, jak wielkiem jest nieszczęściem, że Eskimosi nie chcą uczyć się pływać.

Doniosłem o tem smutnem zdarzeniu policji na Herszela i prosiłem naczelnika, aby zajął się pogrzebem, jeśli woda wyrzuci ciało na brzeg. Ale Eskimosi twierdzili, że nie odnajdą się już zwłoki Manni, gdyż prąd wody poniósł je na pełne morze. Mieli rację, po obiedzie posłałem Hansena, aby przeszedł brzegi zachodnie wyspy, miałem nadzieję, że tam znajdzie ciało Manni, ale niestety poszukiwania jego pozostały bez skutku.

Tak straciliśmy Manni. Śmierć jego była dla nas wielkim ciosem. Wszyscy pokochaliśmy chłopca i z wielką chęcią bylibyśmy go zabrali do swego kraju. Co też byłaby zeń zrobiła cywilizacja?

Koniec.



DZIWIY ŚWIATA

W Bibliotece pod powyższą nazwą ukazują się perjodycznie prace literackie znakomych podróżników, badaczy, myśliwych, dyplomatów polskich i zagranicznych, którzy w sposób zrozumiały dla każdego opowiadają o dalekich krajach, o narodach zamieszkujących kule ziemską, o ich sposobie bytowania, o właściwościach flory i fauny krain egzotycznych i t. d., i t. d. W tym samym wydaniu ukażą się tomiki poświęcone najnowszym odkryciom, wynalazkom, oraz ostatnim zdobyciom wiedzy i nauki. Każdą książkę biblioteki pod tytułem „Dziwy Świata“ zdobią liczne zdjęcia fotograficzne lub rysunki.

Dotychczas wyszły z druku i są do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach i na dworcach kolejowych następujące książki:

- R. Amundzen* — ŻYCIE ESKIMOSÓW.
- Swen Hedin* — W SERCU AZJI.
- A. Humbold* — NAD BRZEGAMI ORINOKO.
- T. Roosevelt* — POLOWANIE NA DZIKICH STEPACH.
- J. Dittmar* — NOWOCZESNE CHINY.
- K. Darwin* — PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA.
- T. Zell* — WŁADCY PUSZCZY.
- C. A. Castman (Ohijesa)* — PRZYGODY CHŁOPCA Z PLEMENIA SIOUXÓW.
- M. Brandt* — JAPONJA.
- C. Borchgrewink* — KRAINA SKAŁ NA BIEGUNIE POŁUDNIOWYM.

Dalsze tomy w przygotowaniu.